

RODZINA

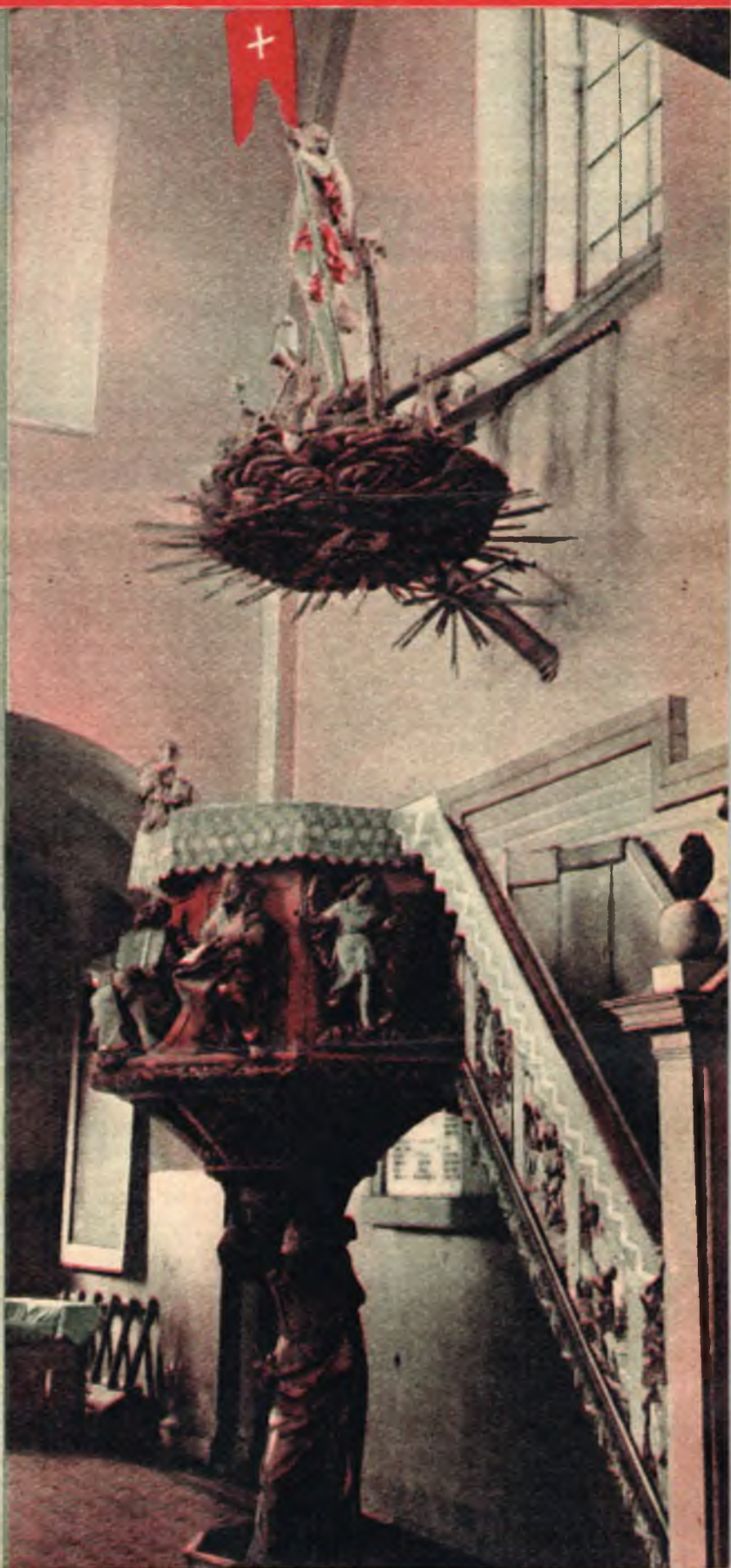
TYGODNIK

Nr 15 (406) ROK IX WARSZAWA, 14.IV.1968 CENA ZŁ 3

KATOLICKI

*Przyjaciółom
i Sympatykom
z okazji Świąt
radości,
zdrowia
i szczęścia
życzy Redakcja.*

**WESOŁEGO
ALLELUIA!**





Grób pański w kościele polskokatolickim w Cieplicach

UPPSALA TO NIE SOBÓR

Dyrektor referatu informacyjnego SRK pastor van den Heuvel podkreślił w rozmowie z dziennikarzem francuskim, że jest rzeczą zupełnie niewłaściwą zestawienie obrad SRK w Uppsali z Soborem Watykańskim. Obrady w Uppsali zgromadzą ok. tysiąca przedstawicieli różnych Kościołów na okres 16 dni podczas gdy obrady Soboru Watykańskiego trwały 4 lata przy obecności 3000 biskupów. Zebranie w Uppsali nie posiada też żadnego papieskiego czy soborowego autorytetu.

Dr Heuvel zwrócił też uwagę na trudności jakie oczekują uczestników zebrania w Uppsali, M.in. dr Heuvel nie jest



Zabytkowy witraż („Wyjście z grobu”) w parafialnym kościele polskokatolickim p.w. Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Cieplicach.

pewny czy Kościoły zachodnie są odpowiednio przygotowane do dialogu z Kościołami prawosławnymi, których przedstawiciele stanowić będą jedną piątą ogólnej liczby obecnych. Ponadto zaś trudność stanowić będzie zamieszanie istniejące obecnie w nauce teologicznej.

li swego udziału. W 1965 r. protestanci wypowiedzieli się przeciw udziałowi katolików. Jeszcze dzisiaj zdania na ten temat są podzielone.

W odpowiedzi zabrał głos biskup katolicki Sztokholmu Taylor podkreślając, że katolicy nie chcieliby się narzucać, nie chcą swą obecnością spowodować nieporozumień i podziałów, jeżeli jednak zostaną zaproszeni chętnie włączą się do ruchu ekumenicznego.

Biskup Taylor wyraził również przekonanie, że papież pragnąłby zaproszenia na obrady w Uppsali i wizytę tę oceniłby równie wysoko jak ocenił swą wizytę w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

WSPÓLNA MISJA POKOJOWA

Generalny Sekretarz SRK Carson Blake wyraził przekonanie, że wysłanie do Nigerii wspólnej misji przez SRK i Kościół rzymskokatolicki mogłoby przyczynić się do przywrócenia pokoju w tym kraju i położenia kresu krwawej wojnie.

DR BLAKE PRZECIW AMERYKAŃSKIEJ WOJNIE W WJETNAMIE

Sekretarz Generalny Światowej Rady Kościołów dr Eugene Carson Blake, który jest obywatelem amerykańskim, w ostrej formie skrytykował i osądził politykę wietnamską rządu amerykańskiego i amerykańską agresję w Wietnamie. Według doniesień prasowych Blake, w wywiadzie udzielonym tygodnikowi szwajcarskiemu „Die Weltwoche” powiedział, że Stany Zjednoczone prezentują światu obraz dużego, zamożnego narodu, który z miesiąca na miesiąc mobilizuje coraz większe rezerwy nie mającej sobie równej te-

chnologicznej potęgi, aby rzucić ją przeciw małemu poddanemu długotrwałym cierpieniom narodowi i zmusić go do kapitulacji. Jednakże każdy żołnierz amerykański poległy lub ranny w Wietnamie jest „bezużyteczną ofiarą”. „Im więcej stosujemy przemocy, tym bardziej słabną nasze najpiękniejsze ideały”. Pod żadnym pozorem nie godzi się wielkiemu i potężnemu narodowi narzucać małemu narodowi swojej polityki, nawet używając argumentu, że ma ona służyć jego dobru.”

Inny aspekt tego zagadnienia poruszył dr Blake mówiąc: „Wojna wietnamska stała się pretekstem, pod którym Ameryka zaniechała wygrania wojny z nędzą we własnym państwie, zaprowadzenia rasowej sprawiedliwości, podzielenia się swoimi dobrami w takiej mierze, aby i w Afryce, Ameryce Łacińskiej i Azji mogła zapanować sprawiedliwość”. Na temat stosunku USA do dzisiejszych sojuszników dr Blake wypowiedział się w jednym lakonicznym zdaniu: „Jeżeli chodzi o naszych sojuszników, to faktem jest, że nie mamy żadnych sojuszników, a tylko satelitów”.

OŚWIADCZENIE ARCYBISKUPA CAMARY

„Świat zdążył do socjalizmu” — oświadczył arcyb. Helder Camara w przemówieniu wygłoszonym z okazji otwarcia instytutu teologicznego w Recife. Znany ze swych radykalnych poglądów, arcyb. Camara powiedział również, że nowy humanizm chrześcijański winien współdziałać w walce o rozwój Ameryki Łacińskiej. Mówca podkreślił stanowisko chrześcijan Europy wschodniej „akceptujących ustroj socjalistyczny, przy odrzuceniu materialistycznej wizji świata”. Arcybiskup zwrócił uwagę, że Kościół „ze względu na swój istotny cel i zadania, nie jest związany z żadnym ustrojem politycznym”. Na zakończenie mówca powiedział, że naiwny chrystianizm ludu północno-wschodniej Brazylii będzie ulegał zmianie w miarę postępu ekonomicznego i społecznego oraz że Kościół winien dołożyć wszelkich starań, by model religijności w Brazylii uległ przemianie w osobistym spotkaniu z Chrystusem”.

Premier Indira Ghandi złożyła podziękowanie hinduskiej Radzie Chrześcijańskiej za udzielenie pomocy głodującej ludności.

*

W NRF przeprowadzono ankietę na temat wysokości i sposobu zbierania podatków kościelnych. 58 proc. katolików i 49 proc. protestantów wypowiada się za dotychczasowym sposobem tj. zbierania podatków kościelnych za pośrednictwem urzędów państwowych. W wypadku zniesienia przymusu płacenia podatków kościelnych 21 proc. wiernych obu Kościołów oświadcza, że płaciłoby mniejsze sumy niż dotychczas, 21 proc. w ogóle przestałoby płacić.



Fot. F. Zwierzbowski

ALLELUJA



EWANGELIA

według św. Marka (16, 1—7)

W owym czasie: Maria Magdalena i Maria Jakubowa, i Salome nakupiły wonności, aby pójść i namaścić Jezusa. I wczesnym rankiem dnia pierwszego po szabacie przychodzą do grobu już po wschodzie słońca. A mówiły między sobą: Kto nam odwali kamień od wejścia do grobu? Spojrzawszy jednak zobaczyły, że kamień jest odwalony; a był on bardzo wielki. A wszedłszy do grobu zobaczyły młodzieńca siedzącego po prawej stronie, odzianego w szatę białą, i zdumiały się. A on im mówił: Nie lękajcie się, Szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego? Powstał z martwych, nie ma Go tu; oto miejsce, gdzie Go złożono. Ale idźcie, powiedzcie uczniom Jego i Piotrowi: Idźcie przed wami do Galilei, tam Go zobaczycie, jak wam powiedział.

„Dobry chrześcijanin będzie dobrym obywatelem, być zaś dobrym chrześcijaninem, nie zawisło od wiedzenia, ale od czynienia tego, co Bóg przykazał“.

(I. KRASICKI)

*

„Żyj tak, jak gdybyś miał jutro umrzeć, a pracuj tak, jak gdybyś miał żyć wieki“.

(K. LIBELT)

| KWIECIEŃ | | |
|----------|----|--------------------------|
| N | 14 | Wielkanoc |
| Pn | 15 | Poniedziałek Wielkanocny |
| W | 16 | Julii, Benedykta |
| Sr | 17 | Roberta, Rudolfa |
| Cz | 18 | Alicji, Apoloniusza |
| P | 19 | Adolfa, Tymona |
| S | 20 | Czesława, Agnieszki |

Alleluja”, jest spolszczonym okrzykiem radości, rodzajem akłamacji liturgicznej używanej przez starożytnych Izraelitów (Ps. 106; 112, 135, 146; Obj. 19, 1, 3, 6). „Alleluja” przeszło z liturgii synagogalnej do liturgii chrześcijańskiej. W St. Testamencie oznaczało „chwalcie Jahwę” (Hallelujah) — u chrześcijan oznacza „chwalcie Boga”. Zwrot ten występuje często w liturgii całego roku, z wyjątkiem W. Postu, lecz najczęściej pojawia się w okresie wielkanocnym, stąd też stał się synonimem tego święta.

Kościół się cieszy, ponieważ dzięki zwycięstwu Chrystusa grzech nie ma już władzy nad duszą naszą. W każdej chwili łaska Chrystusa może go zetrzeć i udzielić nam pełni życia nadprzyrodzonego. Ta myśl dominuje w Uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego, zwanej popularnie Wielkanocą. Dlatego liturgia wielkanocna jest liturgią radości — Alleluja.

Zmartwychwstaniem potwierdził Jezus Chrystus swoje Boskie posłannictwo i prawdziwość swojego Bóstwa. Apostołowie, którzy na widok męki Chrystusa pierzchli trwożliwie, ujrawszy Go zmartwychwstałego, stali się odważni, a wiary w Bóstwo Chrystusa nigdy już nie utracą. Zmartwychwstanie i nas utwierdza w przekonaniu o nieśmiertelności duszy naszej i jest zapewnieniem zmartwychwstania ciała. Fakt zmartwychwstania Jezusa leży u podstaw całej naszej wiary tak, że słusznie pisze ap. Paweł do Koryntian: „Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremny jest przepowiadanie nasze, daremną jest i wiara wasza” (I Kor. 15,14). Ale Chrystus zmartwychwstał, stąd Alleluja.

Swoim zmartwychwstaniem zakończył Jezus dzieło Odkupienia. Triumf Chrystusa jest porażką śmierci, grzechu i piekła oraz odrodzeniem ludzkości do nowego żywota, dlatego świat chrześcijański się weseli: Alleluja.

Zmartwychwstanie Jezusa rzuca nowe światło na smutne zagadnienie śmierci. Raz pokonana przez Chrystusa, już nie jest straszna chrześcijaninowi, bo otrzymał on od Zbawiciela swego moc pokonywania jej, zrozumiawszy, że żyje nie tylko ciałem; ale i duchem. Duch, dusza jest przez śmierć nieetykalna, a ten wniosek krzepi i napawa radością człowieka, dlatego Alleluja.

Przed Chrystusem pojęcie o śmierci wiązało się z pojęciem niepewności i smutku. Było zmorą i przekleństwem, prześladowującym człowieka. Przyjmowano śmierć z rezygnacją, usiłując ukryć lęk pozorami stoicyzmu, czy odwagi. Jezus zwyciężył śmierć: „pożarta jest śmierć w zwycięstwie; gdzież jest twoje zwycięstwo, o śmierci? — zapytuje św. Paweł (I Kor. 15, 55). Poranek Trzeciego Dnia, w którym „Pan zmartwychwstał i piekielne moce zwojował”, stał się początek nowej epoki, kończącej panowanie szatana i śmierci. Z nieubłaganego zła stała się śmierć przez zgon Boga-Człowieka pokorną choć surową „służką Pańską”. Dla dusz, których życiem jest Jezus, jest ona odtąd wyzwoleniem i dobrem. „Witaj Siostro Śmierci” — wołał umierając św. Franciszek z Asyżu... Spośród wszystkich najmilszą jesteś, bo łączysz mnie z moim ukochanym Chrystu-

sem”. To uzasadnia nasze wielkanocne Alleluja.

Pierwszego dnia Szabatu, kiedy było jeszcze bardzo rano, Maria Magdalena i dwie inne pobożne niewiasty poszły do grobu i przybyły tam o wschodzie słońca. Był to pierwszy dzień tygodnia u Żydów — Niedziela Wielkanocna. Anioł odwalił kamień zamykający grób, a straż uciekła. Magdalena, widząc grób otwarty, spieszy do Jeruzalem, żeby powiadomić o tym apostołom. W tym czasie Anioł oznajmia niewiastom Zmartwychwstanie Chrystusa. Dwaj Apostołowie biegną do grobu i stwierdzają nieobecność Mistrza. Magdalena, powróciwszy do grobu, pierwsza ujrzała zmartwychwstałego Zbawiciela. Pod wieczór widzą Go i dwaj uczniowie idący do Emaus. Wracają więc natychmiast do Jerozolimy, by oznajmić to Apostołom. Po powrocie dowiadują się, że i Piotrowi ukazał się Zbawiciel, wieczorem zaś tego samego dnia ukazał się Chrystus Apostołom zgromadzonym w Wieczerniku.

Powszechna radość płynąca z faktu zmartwychwstania Chrystusa ogarnęła nie tylko Apostołów, Maryję i uczniów. Ona poprzez stulecia ożywia umysły wyznawców Jezusa, którzy wpatrzeni w chorągiew zwycięstwa trzymaną w przebitej dłoni Zbawiciela w uroczystej procesji rezurekcyjnej, przy dźwięku dzwonów śpiewają: „Przez twoje święte Zmartwychwstanie, Boży Synu, odpuść nam nasze zgrzeszenie: wierzymy, iż zmartwychwstał, żywoteś nasz naprawił, śmierci wiecznej nas zbawił, swoją świętą moc zjawił. Alleluja, alleluja, alleluja”.

Apostołowie i uczniowie — poczciwi, szlachetni, prości ludzie przeżywali w sercach głęboki smutek i gorycz zawodu. Byli świadkami tragicznego końca swych wielkich, dumnych nadziei i pragnień. Ten, który miał dać im wielkość, który miał wyzwolić ojczyznę spod panowania najeźdźcy, ich nadzieja, Mesjasz, wódz, prorok, idea, umarł jak zwyczajny skazaniec. A skoro umarł, to już po wszystkim. Oni się spodziewali, lecz teraz są zawiedzeni, pełni obaw, uciekają. (Łuk. 24, 13-21). W czasie tej bolesnej podróży dołącza się do nich Zmartwychwstały, ale oni nie poznali Go, gdyż był utajony pod postacią wędrowca. Pod tym względem Łukasz z Kleofasem pozostaną na wieki wiernym odbiciem nas samych, którym towarzyszy przecież ten sam Bóg, tylko w zmienionej postaci: w postaci naszego bliźniego, z którym styka nas codzienne życie. Idea społeczności bożej, założonej przez Chrystusa to miłość, równość, braterstwo, wzajemna pomoc i wzajemne poszanowanie: Chrześcijanin, który tych rzeczy nie rozumie i w życiu nie stosuje, zatrzymał się przed Golgotą i w zmartwychwstaniu nie ma udziału. To teoretyk, który nie złożył z siebie ofiary razem z Chrystusem, a oczy jego nie oglądały blasków zmartwychwstania.

Chcimy ukrzyżować w sobie dawnego, złego człowieka, aby zmartwychwstał w nas człowiek nowy do nowego życia, opromienionego łaską i miłością, życia radosnego, za które Bogu złożyć będzie można w podzięce alleluja.

Ks. M. P.

Trybuna chrześcijańska

POJEDNANIE

ALE NA JAKICH

WARUNKACH

SŁOWO powszechne

ROK XXI

PISMO CODZIENNE

Nr 15 (5373)

Warszawa, czwartek 18 stycznia 1964 r.

OSTOJA ANTYPOLSKIEJ POLITYKI

Zgodzić się trzeba z autorami memorandum, gdy przyznają, że „niemiecki katolicyzm, w obliczu strasznej niesprawiedliwości dokonanej na Polakach pod panowaniem narodowego socjalizmu, nie miał siły i odwagi do zaprotestowania w taki sposób, jaki ponad wszelką dyplomację i rachubami politycznymi odpowiadałby losowi ofiar”. Dodać trzeba, że także w okresie powojennym katolicyzm niemiecki nie dokonał jeszcze szerszego i otwartego rozrachunku ze swą wojenną przeszłością, ale przeciwnie — stał się w Niemczech zachodnich ostoją i podporą antypolskiej polityki każdorazowego rządu bonńskiego, ostoją działalności wielu organizacji rewizjonistycznych. Nie trzeba sięgać do zbyt odległej przeszłości, aby to wykazać. Przecież biskup Kindermann, któremu powierzono opiekę duszpasterską nad przesiedleńcami, wydzielnymi sztucznymi w odrębną grupę, poprzez kierowany przez siebie ośrodek w Koenigstein przygotowuje w gruncie rzeczy organizację i propagandowo „powiót” za Odrę i Nysę. Organizacje przesiedleńców bynajmniej nie ograniczają się do „kultywowania wschodniemieckiego dziedzictwa kulturalnego”, ale każdy ich zjazd przekształca się, i to pod patronatem duszpasterzy, w burzliwą manifestację antypolską. Biskupi zachodniemieccy w swym liście z 5.XII.1963 r. w odpowiedzi na list biskupów polskich, potwierdzili oficjalnie tzw. prawo do stron ojczystych przesiedleńców, co równa się zakwestionowaniu bezspornego prawa Polski do ziem zachodnich i północnych. Całkiem świeżej daty są liczne wypowiedzi, w tym także wypowiedzi biskupów, które odrzucają zdecydowanie tezy memorandum „Bensberger Kreis”, kwalifikując je jako haniebną rezygnację z niemieckich praw. Nie jest też wykluczone, że pod naciskiem tej zmasowanej presji tekst memorandum uległ w ostatniej chwili przededytowaniu...

● JACQUES CHANIGES Paryż - Le Monde "Jury"
● NINA KUCZYŃSKA - Łódź
● JACQUES CHANIGES - Paryż - Le Monde "Jury"

Za i PRZECIW

Tygodnik ilustrowany

PODSTAWOWE TEZY MEMORANDUM

... Solidaryzując się z motywami głośnego memorandum ewangelickiego w sprawie stosunków polsko-niemieckich z 1963 r. autorzy katolickiego memorandum zapewniają iż dolażą wszelkich starań, by „naród niemiecki respektował narodowe prawo narodu polskiego do istnienia”. Gnębi ich fakt, że nie podejmowali już wcześniej wśród swej opinii publicznej starań o pokój z Polską a jeszcze bardziej to, że „niemiecki katolicyzm nie miał w obliczu strasznej niesprawiedliwości jakiej doznał Polacy pod panowaniem narodowego socjalizmu ani siły ani odwagi”, by przeciw temu zaprotestować. Tę samą myśl formułują dalej w

mocniejszych słowach: „My — Niemcy musimy sobie powiedzieć, że przestępstwa dokonane na Polsce w imieniu Niemiec... są przestępstwami tak strasznej natury, iż zamilknąć musi każda próba wystawiania rachunków z naszej strony”.

Z kolei autorzy dokumentu krytykują, iż Polska w świadomości niemieckiej rzadko jest akceptowana jako pełnoprawne państwo i że „tradycyjna niemiecka zarozumialość” wobec Polaków nie jest jeszcze przewyciężona. Stwierdzają, iż NRF jest jedynym państwem, kwestionującym ingerencję obszaru zamieszkanego przez Polaków, dla których obszar ten jest konieczną podstawą życia — autorzy memorandum uważają, iż naród niemiecki musi ponosić odpowiedzialność — zarówno polityczną jak i moralną — za ostatnią wojnę światową rozpętaną i przegraną przez Niemcy. Odpowiedzialność tę ograniczają jednak oświadczając, iż „rozmiary ponoszonych w związku z tym strat nie powinny być oczywiście jednostronne — a więc takie, by zwyciężony był pozbawiony wszelkich praw. Powinno to być ustalone w toku politycznych rokowań i porozumień, które położyłyby na nowo podwaliny pod ucziwy, legalny pokój”.

Omawiając problemy obszarów nad Odrą i Nysą, twórcy dokumentu dokonują szeregu trzeźwych stwierdzeń: sądzą więc, że „pokoju uregulowanie stosunków polsko-niemieckich nie wydaje się możliwe bez strat terytorialnych” dla Niemiec, przyznają prawo do stron ojczystych Polakom urodzonym i zamieszkałym na tych ziemiach, odmawiając go natomiast dzieciom niemieckich przesiedleńców, (ale nie ich rodzicom), które przyszły już na świat poza obszarem dzisiejszej Polski, i dochodzą do wniosku, że „my — Niemcy nie możemy już żądać powrotu tych obszarów do państwa niemieckiego”. Opowiadają się wręcz „w solidarności z katolikami polskimi” za „całkowitą, prawną i duszpasterską normalizacją diecezji” na tych terenach.

Wreszcie w zakończeniu dokumentu znajdujemy kilka słów krytyki rządu NRF, który „przeocza szansę odprężenia, pogłębia swoją własną izolację”. Rząd ten „nie podejmuje próby rozwiązania swych problemów w stosunku do NRD, Polski i Czechosłowacji, co ciąży również na jego stosunkach z ZSRR”. Krytyczne jest też spojrzenie działaczy z „Bensberger Kreis” na zachodniemiecką a zwłaszcza katolicką opinię publiczną, która — jeśli chodzi o pojednanie i porozumienie z Polską — „pozostaje w stanie letargu”.

NIEKONSEKWENCJE

Docenić trzeba szczególnie te fragmenty memorandum, które określają przyczyny, rozmiary i konsekwencje moralnej odpowiedzialności, także i niemieckich katolików, za kryzysy wyrządzone naszymu narodowi przez hitlerizm. Dopiero po 23 latach od zakończenia wojny padły słowa, na które nie potrafiła się zdobyć hierarchia Kościoła katolickiego w Niemczech zachodnich.

Ożywionym na pewno najlepszymi intencjami wywodom na temat dróg pojednania można by wyrazić aprobatę, gdyby nie zawierały m.in. zaskakującej sugestii, by właśnie kołom przesiedleńczym z NRF, szczególnie dobrze znanym z działalności rewizjonistycznej i antypolskiej, powierzyć w Niemczech zachodnich funkcje „pośredników kultury polskiej”. Sprawy pojednania społeczeństw Polski i NRF służy też trafna krytyka sponykanej w publicystyce zachodniemieckiej i, niekiedy, w kontaktach osobistych narodowej zarozumialości, która — przybierając formę szowinizmu — kładzie się ponurym cieniem na stosunki polsko-niemieckie.

Z dużym zainteresowaniem czekaliśmy na polityczną część memorandum świadomości elementarnej prawdy, iż w politycznych przede wszystkim rozwiązaniach szukać należy trwałych podstaw porozumienia i pojednania Polski z tą częścią Niemiec, która przybrała ustrojowy i państwowy kształt Niemieckiej Republiki Federalnej. Spotkał nas w tej dziedzinie zawód. To prawda, że w najistotniejszej dla stosunków naszego kraju z NRF sprawie granicy na Odrze i Nysie zajmują twórcy memorandum stanowisko wykluczające powrót północnych i zachodnich ziem polskich do Niemiec. Ale jednocześnie nie odmawiają pewnej grupie Niemców zamieszkałych dawniej na tych obszarach „prawa do stron ojczystych”, co w konsekwencji rozumieć można tylko jako sugestie możliwości ich powrotu. Taka koncepcja nie służy normalizacji stosunków. Niemożliwe też jest porozumienie i pojednanie z NRF, do którego dochodziłoby się w drodze jakichkolwiek „rokowań” i „porozumień”, których domagają się autorzy dokumentu, a których przedmiotem byłoby polskie ziemie nad Odrą i Nysą.

Autorzy memoriału domagają się, by „zwyciężony nie był pozbawiony wszelkich praw”. O jakie prawa chodzi? Prawo międzynarodowe zna w stosunku do obszarów tylko pojęcie suwerenności — bądź pełnej, bądź ograniczonej przez układy czy umowy. Pełna i bezwarunkowa suwerenność Polski na tych ziemiach nie może być przedmiotem przetargów i dyskusji — ani z NRF ani z kimkolwiek innym. Ten nasz punkt widzenia nie jest poza NRF nigdzie kwestionowany. A zatem, domagając się praw dla zwyciężonego, autorzy memo-

riatu albo chcą w ten sposób przemycić znak zapytania nad naszą suwerennością albo też sugerują jej ograniczenie. Tego rodzaju dwuznaczne sformułowania nie mogą nas zadowolić.

W stosunku do NRF Polska stawia sprawę jasno. W stosunku do nas jasno stawiają sprawę tylko rewizjonisci zachodniemieccy, pragnący nam te ziemie odebrać. Sądzimy, że wszyscy nie podzielaający ich opinii powinni również stawiać sprawę jasno. Dlatego też wyrażamy żal, że w tekście dokumentu nie ma żądania, czy choćby propozycji pod adresem rządu NRF, by wyraźnie i bez zastrzeżeń uznał obecną granicę polsko-niemiecką. Są tylko aluzje do braku realizmu w polityce wschodniej NRF.

Całkowitym niemal milczeniem pokrywa memoriał istnienie NRD jako drugiego państwa niemieckiego i rolę, jaką odgrywa w pokojowym kształtowaniu stosunków polsko-niemieckich. Działacze z „Bensberger Kreis” nie piszą wprawdzie — wzorem swych wielu współwyznawców z NRF — nazwy wschodniemieckiego państwa w cudzysłowie, ale używając terminu „nasi polscy sąsiedzi” gubią z pola widzenia fakt o doniosłym znaczeniu dla spraw, które rozważają: to mianowicie, że sąsiadem Polski jest już od 18 lat Niemiecka Republika Demokratyczna, która zdecydowanie uznała granicę na Odrze i Nysie za nienaruszalną granicę pokoju.

Świadomi znaczenia surowej krytyki, jakiej podana została w dokumencie polityka rządu NRF wobec Polski, odczuwamy jednak zarazem uczucie rozczarowania; czytamy bowiem wprawdzie, że uzbrojenie Bundeswehry i dążenie Bonn do współdecyzji w strategii atomowej „Polacy mogą traktować jako etap na drodze do posiadania broni atomowej”, ale nie znajdujemy jakiegoś potrzebnego stwierdzenia, że dążenie to musi stawać na przeszkodzie porozumieniu Polski z NRF, a Polaków — wierzących i niewierzących — ze społeczeństwem zachodniemieckim, popierającym atomowe aspiracje swego rządu.

Memorandum „Bensberger Kreis” jest niewątpliwie przejawem pozytywnego fermentu w pewnych kołach katolików zachodniemieckich. I na tym polega znaczenie tego dokumentu. Z drugiej strony nie można nie zauważyć gwałtownej reakcji przeciw niemu w NRF, przede wszystkim reakcji hierarchii Kościoła katolickiego w tym państwie.

CI, KTÓRZY SĄ NADAL PRZECIW

Katolicy biskupi zachodniemieccy, którzy obradowali w Stuttgarcie w parę dni po ogłoszeniu memoriału, zajęli w tej sprawie bardzo znamienne stanowisko. Nie chcą atakować dokumentu wprost, odcieśli się jednak od jego treści w dwojaki sposób.

Po pierwsze przypomnieli, że żadna grupa katolików niemieckich nie może powoływać się na autorytet Kościoła, popierającego rzekomo jej poglądy. Stwierdzenie to miałyby całkowicie rację bytu, gdyby nie to, że „Bensberger Kreis” nazywany przez biskupów dla pomniejszenia jego znaczenia „prywatną grupą” wyraźnie oświadczył, że reprezentuje tylko siebie. W tej sytuacji wyjaśnienie biskupów niemieckich nabiera szczególnego posmaku.

Po wtóre wyrazili oni żal, że nie doszło do uzgodnienia poglądów autorów memoriału z poglądami katolickich organizacji przesiedleńczych w NRF. Wiadomo, że organizacje te prowadzące od chwili swego powstania działalność rewizjonistyczną najostrejsze zaatakowały twórców memorandum za ich ustępstwa wobec Polski. Uzgodnienie zatem z nimi treści dokumentu byłoby możliwe tylko w razie przejścia na ich pozycję. Właśnie fakt, że do tego nie doszło napawa hierarchów zachodniemieckich żalem. Trudno zaiste o bardziej wyraźne określenie własnego stanowiska w sprawie pojednania i porozumienia z Polską. Liczne zapewnienia o gotowości do ucziwego dialogu i pogłębienia starań o pojednanie z Polską muszą w tej sytuacji być traktowane przez katolików polskich jako deklaracje gołosłowne, którym życie przeczy. Utwierdza ich w tym przekonaniu także komunikat sekretariatu Niemieckiej Konferencji Biskupów, w którym czytamy: „Przewodniczący Konferencji kardynał Juliusz Döpfner zachęcił Centralny Komitet Niemieckich Katolików, by zaprosił na rozmowę przedstawicieli „Bensberger Kreis” i katolików wygnanych z ojczyzny dla wyjaśnienia nieporozumień i dla wspólnego przedyskutowania odnośnych problemów. Inicjatywa ta odpowiada wyrażonej parokrotnie opinii kardynała, że katolickie wypowiedzi na temat stosunków niemiecko-polskich powinny być uzgodnione z przedstawicielami katolików niemieckich wygnanych z ojczyzny”.

Kardynał Döpfner, wysuwając tego rodzaju postulaty, torpeduje w załączku kłękujące pragnienie porozumienia i pojednania.

Czyni to też — niestety skutecznie — olbrzymia część zachodniemieckich ośrodków propagandy, które rozpoczęły nagonkę przeciw autorom memoriału. Poza związkami przesiedleńczymi, kołami CDU, oraz naturalnie, nehitlerowskimi, szczególnie atakuje ich pravicowa, wpływowa prasa katolicka w NRF. I tak według zjadliwej uwagi znanego katolickiego tygodnika „Echo der Zeit” (nr.

§ z 3 marca br.) w NRF kursowało przed opublikowaniem memoriału więcej egzemplarzy różnych przygotowanych wersji niż „Bensberger Kreis” ma w ogóle członków. Te próby ośmieszenia i zaszczuwania małej grupy niemieckich katolików, którzy odważyli się powiedzieć w spokojnej formie choć część gorzkiej prawdy sferom rządzącym w NRF, a także ogółowi swych współwyznawców w Niemczech zachodnich, orientują nas w zasięgu antypolskich nastrojów, których katalizatorem stało się opublikowanie memorandum. Rozmiary i gwałtowność tego ataku każą jednocześnie ocenić tym wyżej z moralnego punktu widzenia postawę autorów dokumentu...

JAN ZARANSKI

STRON 6

CENA 3 50 ZŁ

TYGODNIK POWSZECHNY

KATOLICKIE PISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

BRAK PODSTAWOWYCH WARUNKÓW

....A więc memorandum wprawdzie stawia wyraźnie tezę o rezygnacji z roszczeń terytorialnych, mówi o konieczności wycofania z tego bezwzględnie wniosków politycznych, ale nie stawia kropki nad i, jaką byłoby sformułowanie żądania bezwarunkowego uznania przez Bonn już dziś granicy na Odrze i Nysie.

Co więcej, mówiąc o rezygnacji z roszczeń autorzy memorandum — niezbyt konsekwentnie — przewidują w przyszłości możliwość jakichś dyskusji na temat granic. Jest chyba rzeczą jasną, że dla Polaków możliwość ta nie wchodzi w rachubę. Po wtóre memorandum mówi niemal wyłącznie o problemie terytorium Odry-Nysy, czyli naszych Ziemi Zachodnich, traktując ten problem jako warunek polsko-niemieckiego pojednania. Istotnie, problem ten, ściślej mówiąc formalne uznanie granicy na Odrze i Nysie, jest tu warunkiem koniecznym, ale bynajmniej niewystarczającym. Pojednanie między obydwojema narodami jest problemem moralnym, ale jest także problemem politycznym. Nie da się tego pojednania osiągnąć na drodze „od narodu do narodu”, „ponad głowami państw i rządów, z pominięciem interesów państwowych oraz politycznych imperatywów polskiej racji stanu. Otóż z punktu widzenia polskiej racji stanu formalne uznanie przez Bonn granicy na Odrze i Nysie byłoby gestem cennym, ale jednak tylko gestem. I bez tego uznania granica ta jest faktem, gwarantowanym przez międzynarodowe układy, uznanym formalnie przez Niemiecką Republikę Demokratyczną, uznawanym de facto przez wszystkie państwa zachodnie poza NRF, faktem bez wojny nieodwracalnym. To, co nas Polaków, interesuje, to kompletne zabezpieczenie pokoju w tej części świata, a więc system bezpieczeństwa europejskiego. Jeśli chodzi o sprawy polsko-niemieckie to — jak wiadomo — stworzenie takiego systemu zakłada, że polityka Bonn ulegnie radykalnej zmianie, że NRF z czynnika blokującego odprężenie w Europie stanie się czynnikiem pracującym świadomie na rzecz tego odprężenia. Konsekwencją takiej polityki, dowodem dokonanego zwrotu byłoby spełnienie trzech warunków: uznania granicy na Odrze i Nysie, uznania faktu istnienia dwu państw niemieckich oraz uczciwej rezygnacji — ze strony NRF — z broni nuklearnej. „Bensberger Kreis” praktycznie mówi tylko o pierwszym z tych warunków. Mimochodem tylko wspomina o stosunku do NRD — cytowaliśmy wyżej odnośne zdania — brak tam dopowiedzenia o konieczności — uznania istniejącego pod tym względem status quo. Wiemy, że stosunek do NRD jest w Republice Federalnej determinowanym problemem zjednoczenia Niemiec. Sprawa ta obchodzi oczywiście przede wszystkim samych Niemców, naszym jednak zdaniem, punktem wyjścia do rozwiązania tego problemu, na co zresztą na razie się nie zanosz, musi być uczciwe uznanie konkretnego faktu istnienia dwu państw niemieckich. Jeśli chodzi o sprawę broni nuklearnej, to memorandum wspomina o niej krótko, mówiąc, że dążenie Bonn do posiadania lub też do dysponowania bronią nuklearną jest przyczyną uzasadnionej nieufności Polaków do Niemieckiej Republiki Federalnej. Od tego słusznego zresztą stwierdzenia, daleko jednak do wyraźnego postulatów uczciwej rezygnacji z jakiegokolwiek dostępu do broni nuklearnej, co dla Polaków jest warunkiem sine qua non polsko-niemieckiego zbliżenia. Zresztą, autorzy memorandum ograniczając się do problemu granicy na Odrze i Nysie, zdawali sobie sprawę, że nie wyczerpuje to podstawowych polskich postulatów. Jeden z głównych redaktorów memorandum, dr Erb, wiceprzewodniczący niemieckiej gałęzi „Pax Christi” (a zarazem członek niemieckiej delegacji na rzymski Kongres Apostolstwa Świeckich) powiedział przedstawicielowi Niemieckiej Agencji Prasowej (DPA), jeszcze przed ogłoszeniem memorandum, że „strona polska oświadczyła w kwestii dokumentu, iż tego rodzaju próby zasługują na wiarygodność tylko wówczas, jeżeli zawierają również poza uznaniem granicy na Odrze i Nysie postulat uznania NRD i rezygnacji NRF z broni atomowej”. (Oświadczenie to cytuję boński korespondent PAP w dniu 22 lutego br.)...

Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że adresatem memorandum są — jak się zdaje — przede wszystkim Niemcy. I tu leży waga tego dokumentu”...



UZNIANIE GRANICY ALE ZA JAKĄ CENĘ

Nie chcemy nie doceniać pozytywnych treści tego memorandum, które zrodziło się przecież w wyjątkowo niesprzyjającej sytuacji i to zarówno ze strony kół politycznych, jak i ze strony katolickiej hierarchii kościelnej w NRF, która natychmiast odcięła się od tez zawartych w memorandum. W swej, co prawda, niepełnej krytyce polityki bońskiej, bo stawiającej tylko marginalnie zagadnienie broni atomowej dla Bundeswehry, jak i problem uznania Niemieckiej Republiki Demokratycznej, sygnatariusze memorandum podkreślają, że „nikomu z nas nie wolno zamykać oczu na to, że naród, którego kierownictwo polityczne rozpętało i przegrało wojnę, musi za to ponosić odpowiedzialność nie tylko faktycznie, ale także z punktu widzenia sprawiedliwości. Od tego obowiązku odpowiedzialności, który dotyczy całego narodu niemieckiego, nie możemy się uchylić, jeśli naprawdę poważnie pragniemy pokoju. W ramach tego obowiązku, obok odszkodowań i indywidualnego zadośćuczynienia powinniśmy pogodzić się także z niekorzystnymi faktami politycznymi, przy czym nie można wykluczać z góry także strat terytorialnych”.

Jednakże zaraz dalej czytamy, że „rozmiary tych strat nie powinny być oczywiście dyktowane jednostronnie — a więc tak, by zwyciężony pozbawiony był wszelkich praw. Powinno to zostać ustalone w toku politycznych rokowań i porozumień, które położyłyby na nowo podwaliny pod uczciwy, legalny pokój”.

Jest to więc propozycja pertraktacji na temat naszej granicy zachodniej. Jest to propozycja bardzo podobna do propozycji polityków bońskich, którzy w swych deklaracjach przeciw również domagają się rokowań z Polską na temat granicy.

Sytuację musimy tu postawić jasno. Dla nas sprawa granicy na Odrze i Nysie rozwiązana została już dawno. Jeżeli interesuje nas fakt uznania przez NRF naszych zachodnich granic, to tylko w kontekście bezpieczeństwa europejskiego. Nie może to być mowy o żadnej zmianie naszego stanowiska, a tym bardziej nie za cenę odszkodowań dla tych ludzi, którzy przeżyli gehennę hitlerowskich obozów koncentracyjnych...



UZASADNIONA NIEUFNOŚĆ

... Autorzy tekstu „Bensberger Kreis” przyznają, że podejrzliwość i nieufność Polski wobec NRF jest całkowicie uzasadniona i to nie tylko historycznymi doświadczeniami naszego narodu, ale

również obecną polityką NRF, kraju, który nie chce uznać zmian terytorialnych, jakie się dokonały po II wojnie światowej i który za wszelką cenę dąży do uzyskania broni nuklearnej. Im szybciej NRF uzna granicę na Odrze i Nysie — tym lepiej, stwierdzają autorzy, podkreślając całkowitą integrację terenów za Odrą i Nysą z resztą Polski.

Ale chociaż w tekście stwierdza się: „musimy pogodzić się z myślą, iż nie możemy już żądać powrotu tych obszarów do państwa niemieckiego” to jednak autorzy kwestionują historyczne prawa do tych ziem oraz pozostawiają otwarty problem „prawa do ojczyzny” dla części uchodźców. Formalne uregulowanie problemu granic odraczają autorzy do czasu przyszłych rozmów w sprawie traktatu pokojowego...

Christ in der Gegenwart

DZIWNA ZBIĘŻNOŚĆ INTERESÓW

... W związku z memorandum „Bensberger Kreis”, przewodniczący Niemieckiej Konferencji Biskupów kardynał Doepfner oświadczył, że zasugerował Komitetowi Centralnemu Niemieckich Katolików, aby zorganizować wspólne spotkanie przedstawicieli „Bensberger Kreis” i wypędzonych katolików (der katholischen Heimatvertriebenen!) dla wyjaśnienia nieporozumień (!) i dla wspólnego przedyskutowania nasuwających się problemów. Sekretarz Konferencji episkopatu Niemiec ks. prałat Forster powiedział na zebraniu plenarnym Komitetu Centralnego: „Wymiana listów między polskimi i niemieckimi biskupami podczas Soboru była zobowiązaniem do dalszej pracy. Nie należy oczekiwać ze strony Kościoła i katolików jakichś hałaśliwych posunięć odnośnie problemów politycznych i prawnych. Bardzo istotną rzeczą jest pogłębienie poznania historycznej winy niemieckiej i wiarygodne oświadczenie o rezygnacji z zastosowania przemocy, o czym wielokrotnie oficjalnie mówiono. Naszym obowiązkiem jest rozpatrzenie każdego kroku zmierzającego do porozumienia polsko-niemieckiego — ale nie przeciw (!) — tylko wspólnie z tą częścią narodu niemieckiego, która utraciła na Wschodzie swoją ojczyznę. Tylko wspólnie z wypędzonymi z Ojczyzny możemy podjąć krok, które będą wiarygodne i które w konsekwencji nie doprowadzą do nieporozumień...”

CHRIST UND WELT Deutsche Wochenzeitung

MEMORANDUM O LIKWIDACJI DUSZPASTERSTWA

...Tylko jedno żądanie (zawarte w memorandum) posiada specyficznie katolicki charakter, a mianowicie: żądanie likwidacji samodzielnego, opartego na prawie kanonicznym, duszpasterstwa wypędzonych, które ze swą własną hierarchią, ze swym własnym aparatem, własnymi seminariami duchownymi stanowi żywy symbol kościelnego stanu sprzed wojny na niemieckich terenach wschodnich, które Watykan utrzymuje dotychczas mimo nacisku biskupów polskich. Żądanie to było pierwszą przyczyną stanowiska negatywnego wobec planowanego memorandum ze strony „ordynariatów wschodnich”...



„Moi Drodzy! Życzę Wam wesołych Świąt, ale jednocześnie wysłuchajcie mnie i poradzcie: jestem ofiarą wybujałych ambicji towarzyskich mojego męża i znajduję się w kresu sił. W naszym miasteczku często są jakieś towarzyskie okazje: imieniny, urodziny, wysługa lat, rocznica ślubu, trwa korowód wizyt, odwiedzin. Każda strona zapraszająca „wypruwa” się z ostatniego grosza, żeby godnie wystąpić (czytaj w nawiasie, żeby go nie obszczekali, że skąpy). Każda strona składająca wizytę wysiła się na drogi prezent imieninowy czy urodzinowy, żeby jej nie pomówiono o podobny grzech. Nie wiem jak to długo będzie trwało, te wzajemne rewanzę, te „zastaw się, a postaw się”, ta licytacja zakąsek, trunków, upominków, bez których, sądzą, życie towarzyskie w naszym mieście byłoby i bardziej naturalne i sympatyczniejsze.

Zbliża się maj, miesiąc, który sławia pocięci, a o którym ja myślę z przerażeniem: w maju wypadają imieniny moje i męża (nie przyjęte jest, żeby urządzić razem, trzeba każde osobno, mimo, że następują kilka dni po sobie), oraz przy końcu miesiąca 15-ta rocznica naszego ślubu, o której, niestety mąż wszystkich głośno poinformował. Muszę powiedzieć, że dopiero przysłałam (finansowo) do siebie po Świętach Bożego Narodzenia i po Sylwestrze (niby składkowym), który zainicjował mąż, oczywiście w naszym mieszkaniu. Taka to była składka: w rzeczywistości dołożyłam do przyjęcia 1200 zł, bo mąż powiedział, że menu jest za mało eleganckie i niegodne naszego domu.

To prawda, bywamy co niedziela w innych domach (mamy zaprzyjaźnionych kilkanaście) i oni tak samo postępują jak my, też się silą na wystawność i wiem, że robią to pod niepisaną presją. Wstyd mi poruszyć ten temat z którąś z pań domu, zresztą kilka z nich jest ze mną zaprzyjaźnionych. Jest to temat „tabu”, którego się nie porusza. Wiem, że i one na co dzień pichcą byle co, liczą się z każdym groszem, żeby potem, któreś niedzieli „zabłysnąć” jakimś wyk-

wintnym daniem, albo zagranicznym koniakiem.

Mój mąż nazywa mnie osobą nietowarzystką, bez przerwy mówi: „W takim mieście trzeba z ludźmi dobrze żyć, trzeba podtrzymywać życie towarzyskie, to jedyna nasza przyjemność, a poza tym ludzie patrzą, nie lubią skner”. Nie zgadzam się z nim i buntuję przeciw tym poglądom. Nie wierzę, żeby wszędzie tak było, żeby ludzie zarobione pieniądze pakowali w jedzenie, w wystawne trunki, po to tylko, by „zabłysnąć”, uważam to za przeżytek i absurd. Efekty tych przyjęć można wyliczyć na palcach: ani razu nie wyjeżdżaliśmy na urlop, bo przecież nie mogę nazwać urlopem wyjazdu do małej miejscowości w woj. łódzkim, gdzie mieszka siostra męża. Oficjalnie nazywa się to, że wyjeżdżamy do Zakopanego, lub Krynicy. Nawet piszemy stamtąd kartki, które przesyłamy do szwagra do Nowego Targu, który z kolei wrzuca je na Krupówkach. Śmieszne? Tak zarządził mąż. Myślę, że taką samą drogą idą pocztówki z Jastarni od państwa N. i z Krynicy od doktorstwa L. Przypuszczam, że niektórzy z naszych znajomych domyślają się tej mistyfikacji, wyobrażam sobie, co o nas mówią i jak się z nas za plecami śmieją.

Jestem zmęczona życiem towarzyskim prowadzonym ponad stan, ponad potrzeby i ponad finansowe możliwości. Będę szczerą: nie wszyscy ludzie, u których bywamy i których u siebie gościmy są rzeczywiście tymi, z którymi miałabym ochotę utrzymywać bliższe stosunki. Niektórzy z nich mają dużo większe dochody od nas, np. państwo K., którzy prowadzą małe przedsiębiorstwo ogrodnicze, czy państwo R., którzy hodują norki. Nie możemy się z nimi równać, bo mąż jest naczelnikiem wydziału w jednej z instytucji, ja nauczycielką muzyki. Daję koperty, mąż bierze robotę do domu i to wszystko potem idzie na gości. Mamy telewizor, to prawda, ale mąż postanowił go kupić ze względów prestiżowych. Wystarczył by nam telewizor o ekranie 17-calowym, ale mąż kupił taki największy, bo nie mogliśmy być gorsi od K. i R.

Nasze miasteczko nie jest duże i wszyscy wszystko o sobie wiedzą, a wiedzieć muszą i o tym, ile nas i innych kosztują te bankiety, te rewanzę. Czy mąż sobie z tego nie zdaje sprawy? Kiedy nasz 10-letni syn zachorował i znajomy lekarz (zresztą z Przychodni) odwiedzał go, leczył, ordynował lekarstwa — stanowiło to po prostu jego obowiązek. Innego zdania był mój mąż, który oświadczył, że lekarzowi należy się prezent: wziął pożyczkę w pracy i kupił ni mniej ni więcej, tylko... tranzystorowe radio. Podobno lekarz nie chciał za żadne skarby przyjąć, ale mąż miał powiedzieć: „Przecież to ja daję, twój przyjaciel, to nie żadna łapówka”. No więc doktor przyjął, ale za to po dwóch tygodniach wmaszerował do nas na kolację z butelką koniaku Martel i z perfumami francuskimi dla mnie, rzekomo w 5-tą rocznicę naszego poznania się w miasteczku. Podejrzewam, że aby kupić te rzeczy musiał sprzedać... tranzystor.

Nie kłamię, nie przesadzam, nie dramatyzuję. Tak jest i taki list możecie niejedno jeszcze dostać z naszego miasteczka. Fundy, przyjęcia, prezenty i stokroć gorsze od nich, bo droższe — rewanzę — stanowią moją zmartę. Mam ochotę wziąć dziecko i uciec stąd, zaszyć się gdzieś w dużym mieście, gdzie z przyjaciółmi można porozmawiać przy kawie, gdzie za zarobione pieniądze można kupić porządne palto i wyjechać z synem nad morze lub w góry, gdzie nikomu za nic nie będę musiała się rewanzować, gdzie będę mogła przebywać tylko z tymi ludźmi, których naprawdę lubię.

Twierdzą stanowczo, że mój mąż oszalał. Mamy długi: 12 tysięcy (w kasach pożyczkowych i u szwagra). Nie widzę możliwości spłacenia ich, zwłaszcza, że na maj powinienam się jeszcze raczej zapożyczyć. Napiszcie, co robić.

Sknera.”

A można by sądzić, że zaginął już ten szaleńczy obyczaj, o którym pisze przekornie nazywająca siebie Sknerą — miła i rozsąd-

na Czytelniczka. Że nauczyliśmy się żyć z ołówkiem w ręku, tak jak to robią wszyscy ludzie pracy na całym świecie. Że gospodarstwo jest planowe, każda złotówka ma swoje przeznaczenie. No i tu — taka bomba, i to nie czekoladowa jak na Wielkanoc przystało.

Droga, miła Sknero! Jest Pani mądrą, rozsądną kobietą, która jednak za długo czekała na zdefiniowanie tego, co się u was w domu i w innych domach dzieje. Toż to najgłupsza z głupot i z tego punktu widzenia pani mąż istotnie sprawia wrażenie człowieka oszalełego, chyba, że dostał spadek po amerykańskiej ciotce, co starannie przed panią ukrywa. Ale tak prawdę mówiąc — wcale w to nie wierzę. Mam do Pani jednak pretensję: trzeba było już dawno znaleźć sojuszniczki w swojej słusznej sprawie, a jest ich na pewno wiele. Przełamać temat „tabu” i walnąć prosto z mostu: „Moje drogie, nie wiem jak Wy, ale ja już resztką pieniędzy i sił gonię. Skończmy z tymi przyjęciami, nie róbmy z siebie Rockefellerowych, spotykajmy się w wolnych chwilach na brydżu, na płotkach, aby podyskutować, czy pooglądać wspólnie telewizję, ale bez wystawnych kolacji, które zobowiązują. Żyjmy w miarę swoich własnych, finansowych możliwości. Nie dajmy się zwariować.” Nie wiem, czy wszystkie panie, z którymi skoli-gacona jest Pani towarzysko — zgodziły by się z Panią. Ale część — na pewno, zwłaszcza te, które tak jak Pani żyją z własnej pracy.

A teraz, jak postępować z mężem. Nie pisze Pani, czy oprócz perswazji i wyrzutów próbowała Pani innych środków. Nie wiem, jak jest zorganizowane u Państwa gospodarstwo: jeśli Pani dysponuje pieniędzmi — po prostu trzymać je twardo w ręku, choćby miał paść zarzut uosobienia sknerstwa. Kupować artykuły żywnościowe tylko dla własnych potrzeb. Dla gości — kawę i drobne ciasteczka. Nic więcej. Co zrobić z majem? Ano po prostu: przy najbliższym spotkaniu z zaprzyjaźnionymi małżeństwami napomknąć: w tym roku imienin, ani urodzin nie wyprawiamy, bo planujemy większą inwestycję domową. Ale prosimy na kawę. Rocznicę ślubu? Postanowiliśmy obchodzić ją co 10 lat. A właśnie 5 lat temu uroczymy obchodziliśmy ten fakt. Na zaproszenia na obiad, czy wielkie śniadanie odpowiadać: przyjdziemy chętnie, po południu, na herbatę, jeśli pozwolicie... Że się zdziwią? Że się obrażą? Że obmówią? No i co z tego? Ci, na których wam naprawdę zależy nie odejdą od was, jestem nawet przekonana, że skwapliwie przyznają Wam rację i stosunki towarzyskie ułożą się na normalnej stopie. Na pewno nie zrezygnują z przyjęć właściciele hodowli nerek i sałaty inspektowej: to ich sprawa, mają więcej pieniędzy od was. Do nich również wpadajcie, ale tylko na herbatę, tym samym się w przyszłości rewanzując.

Teraz sprawa pożyczek. Myślę, że trzeba będzie mocno zacisnąć pasa i jednak przez najbliższy rok je spłacić. Trudno, jeszcze jeden rok bez wakacji. Ale za to potem — można zacząć życie normalnych, racjonalnie gospodarujących się ludzi. Pisze pani o odejściu od męża. To nie takie głupie, wyjechać na cały maj, niech mąż sam wydaże przyjęcia, zobaczymy, czy będzie umiał i za co to robi... Ale to już ostateczność, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

LUDMIŁA CZERKAWSKA



Rozmyślania przy kominku

CUD PRZEBUDZENIA

Wiosna zawsze przychodzi nagle i, od wieków, równie niespodziewanie. Czy przesłała się w trudnym przedwiośniu, wśród topniejących śniegów, dokuczliwych porywów wiatru, nawisłych chmur i strug deszczu na przemian ze śniegiem, czy też wybuchła wiosenną burzą, wśród ulewy, ciepłych powiewów i ostrego słońca — zawsze jest równie niespodziewana i najszczerzej upragniona.

Pod koniec zimy bowiem przychodzi taki czas, gdy wbrew rozumowi i kalendarzowi, przestajemy wierzyć, że zima kiedykolwiek się skończy. Jest to zupełnie irracjonalne i urągające wszelkiemu porządkowi świata, a jednak któregoś ponurego dnia tracimy nadzieję.

Niebo wisi nisko obciążone chmurami, ziemia pokryta brudnym zeskorpiałym śniegiem — szaro, smutno i beznadziejnie. Za oknem nagle zrywa się zadymka. Drobne płatki śniegu wirują w opętańczym tańcu, wiatr zacina aż gwizdże w kominach i nagle śnieg zamienia się w strugi deszczu. Leje, śiapi, mży — szare smugi łączą niebo i ziemię — zda się na zawsze...

Zbyt długo już czekaliśmy na ciepły podmuch i jasne, ostre promienie słońca. Przychodzi taka chwila, gdy to nasze oczekiwanie przesła się i wydaje się, że nie znajdziemy już w sobie dość siły by dźwigać je dalej. Mówimy sobie, że nie ma sensu wyglądać oknem, podnosić twarz ku niebu. — Jeszcze długo — uspokajamy i uciszamy nazbyt zmęczony organizm i wyczerpane nerwy.

Z tym „jeszcze długo” kładziemy się spać, lecz nie możemy usnąć. Na myśl przychodzą wszystkie zawody i kłopoty, straszą niezapłacone rachunki, jak na ekranie telewizora, pojawiają się niedotrzymane terminy. Przypominamy sobie, że nasze dzieci źle się uczą, że dotąd nie mogliśmy sobie kupić upragnionego fotela, że lata płyną, a my stajemy się coraz starsi, siwych włosów przybywa, ruchy tracą swą dawną płynność i sprężystość. Zamiast pływać po morzach, jak marzyliśmy w młodości, dzień w dzień podsumowujemy długie kolumny cyfr wiaź przy tym samym biurku, a nasza wielka miłość, którą nam miało przynieść życie, rozmięła się na drobne sprzeczki i rozkładane kaptcie żony. Syn znowu przyniósł kolejną „dwójkę”, a córka gdzieś „lata” i nie można jej upilnować, zaś duszność na piersi i ta, niby nieznaczna, zadyszka nie pozwala się ułożyć wygodnie na lewym boku...

I wówczas to przychodzi ta najgorsza, najostateczniejsza chwila, na którą możemy sobie pozwolić tylko w ciemności i tylko w samotności. Robi się nam przeraźliwie smutno, wpadamy w nastrój roztkliwiania się nad samym sobą, niespełnionymi marzeniami, niewykorzystanymi szansami i dochodzimy do ponurego wniosku, że nic w życiu nie osiągnęliśmy, a jeżeli nawet osiągnęliśmy, to nie było „to właśnie” co nam się kiedyś marzyło. Szara zasłona przesadnego rozczulania się nad sobą, przesłania prawdziwość przeżytych lat.

Wydaje się, że jesteśmy na dnie, bez nadziei wyzwolenia pogrążeni bez reszty we własnych przykrych rojeniach — i wtedy... w uszy nasze i do świadomości zaczyna się coraz wyraźniej wsączać jakiś szum. Coś szumi z daleka, słyszymy odległy poświst — jakby zapowiedź nadchodzącego...

Wsluchujemy się coraz uważniej, coraz usilniej. A szum narasta, poświst wzmagą się. Już jest coraz bliżej, już gwizdże w kominach, już pochyla drzewa, które trzeszczą i poddają się opornie, dom skrzypi, z podwórza dochodzi brzęk i szcęk jakiegoś żelastwa. I oto wiatr dmie z całej siły i w jego narastającym dźwięku — usypiamy z uśmiechem...

Rankiem, półmrok pokoju przebijają strzały słońca. Wiatr buszuje za oknem huczący i młody. Z dachów płynie woda. Ciurkają rynny. Stwardniała skorupa śniegu rozpada się i topi. Z każdej przymy wypływają małe strumyczki i dźwięczą. Chodniki lśniące i mokre, w każdej kałuży niebo. Powietrze pełne zapachów, ostre i wilgotne. Po niebie przewalają się, pędzone wiatrem brzuchate chmury i raz po raz przesłaniają słońce. Ale wśród nich błyska intensywny błękit...

Pod domami, jakby za sprawą czarów, pojawiły się poopatulane kobiety, a w ich rękach kwitną bazie. Delikatne, jak futerko kociaka, seledynowe i różowe, ledwie wykwitłe z lśniących, brunatnych łupinek.

Czyż w taki dzień można pamiętać jeszcze o nocnych rozmyśleniach? Czyż można jeszcze wierzyć, że te nocne zmary były rzeczywistością? Czyż w zwycięski wiosenny poranek można znów pogrążyć się w zimowej martwocie?

Wraz z całym światem przeżywamy cud przebudzenia. Cud coroczny, stały i niezmienny, a jednak zaskakujący, niespodziewany i zawsze nowy. Zmęczeni i przytłoczeni, podnosimy głowy i chcemy śpiewać. Chcemy gdzieś biec zachłystując się krzykiem i znów — choćby na małą chwilę, na mgnienie oka — stajemy się pełni sił, zapału i wiary w siebie.

Czyż bowiem, sumowanie cyfr, to naprawdę tak smutna i beznadziejna sprawa? Przecież to sól naszego życia. Za cyframi kryją się maszyny i wagony pełne węgla, to światło w naszych domach i chleb na naszym stole. To ziarno, które rolnik rzuca w rozpulchnioną, pachnącą ziemię, to huk motorów i... nowe buty syna. Tego samego syna, który tak przejął się „dwójką”, że już od kilku dni prawie nie wstaje od książek. Przypominamy, jak to córka zapewniała z płaczem, że ona „nie lata” była tylko u koleżanki z którą razem czytały lekturę. Dlaczego raz jej nie uwierzyć? Na urlop pojedziemy nad morze. Będziemy leżeć na piasku i razem z żoną śledzić horyzont, a gdy odwróci głowę by spojrzeć na nas ujrzymy, że jej oczy otoczone siecią drobnutkich zmarszczek są przecież tak samo łagodne i błękitne jak niegdyś...

I cud przebudzenia urzeczywistnia się. Wraz z całą przyrodą patrzemy ufnie w przyszłość. Wiosna to czas odrodzonych nadziei, czas ufności i wiary we własne możliwości. To czas rozświegotanych wróbli i pierwszej zielonej trawy. Czas drobnych nadmarzniętych przebiśniegów i śnieżyczek. Puszyste bażki i kolorowe palmy. Barwne pisanki, ów odwieczny symbol życia, i wielkie generalne sprzątanie, pasja żon i zmora mężów...

W oknach pysznia się sztywne, świeżo wyprane firanki. Mieszkanie pachnie świeżością i pastą do podłóg. Z kuchni dolatują świąteczne zapachy. Zona, odmłodzona przez nową fryzurę, zaaferowana i zapracowana, lecz pełna radosnego podniecenia, przegania dzieci, które koniecznie chcą być użyteczne i których pełno w każdym kącie.

Za oknem słońce wzywa do wiosennej przechadzki, na drzewach nabrzmiewają paki i młoda zieleń coraz śmieiej pokrywa każdy wolny spłacheć ziemi. Ludzie uśmiechają się bez powodu i wszyscy — zda się — chcieliby z radością święcić święto wiosny, święto przebudzenia, święto młodych soków ziemi i świeżych sił człowieka. Najpiękniejsze święto roku...

HABER



Skończyć z wyzyskiem w handlu międzynarodowym



Kawa, podstawowe źródło bogactwa Brazylii, jest jedynym produktem rolnym, którego ceny strzeże międzynarodowe umowy.

W New Delhi odbyła się pod wysokim protektoratem Organizacji Narodów Zjednoczonych konferencja poświęcona zagadnieniom handlu zagranicznego. W konferencji uczestniczyło 136 krajów, w tym 86 krajów tzw. Trzeciego Świata. Aby położyć kres dotychczasowemu wyzyskowi krajów biednych postanowiono m. in. takie postulaty:

- skończyć z gangsterstwem w handlu międzynarodowym;
- spowodować, aby każdy kraj bogaty dał na rzecz krajów Trzeciego Świata jeden procent ze swego dochodu narodowego;
- ustalić stałe ceny na niektóre produkty dostarczane przez kraje Trzeciego Świata.

Nasze dzieci wychodząc rano do szkoły otrzymały filiżankę kakao. Nasze — to znaczy polskie, rosyjskie, niemieckie, angielskie, amerykańskie. Miliony rodzin dały swym dzieciom filiżankę kakao... kawy... lub herbaty.

W tym samym dniu wielu białych ludzi jadło banany, ananasy, daktyle, orzeszki arachidowe...

Codziennie ludzie rasy białej konsumują miliony ton towarów sprowadzanych z Trzeciego Świata. Miedź z Chin, kauczuk z Malajzji, bawełnę z Egiptu, herbatę z Indii, kawę z Brazylii, banany z Gwinei, kakao z Afryki, benzynę z Gwinei i z krajów arabskich... Czy jest w tym coś złego? Kupujemy produkty krajów dość ubogich, płacimy im za to umówioną cenę i w ten sposób przyczyniamy się do wzrostu ich bogactwa. Czy to nie logiczne?

DRAMAT PLANTATORA KAKAO

A jednak w powyższym rozumowaniu jest pewien błąd. Weźmy rolnika z biednej wioski afrykańskiej. Niech to będzie rolnik z Yamousoukro koło Abidżenu. Rolnik nazywa się Koffi i posiada pięcioro dzieci.

Koffi zasadził kakaowce i z ogromną starannością pielęgnuje drzewa. Te kaka-

owce stanowią jedyne źródło utrzymania. Z niecierpliwością oczekuje dnia, w którym z pni drzewnych zbierze pachnące ziarna.

Dla Koffiego ziarna te stanowią podstawę jego bytu. Za sprzedany produkt będzie żył przez cały rok. Od sprzedaży tych ziaren zależy możliwość kupienia ubrania, pożywienia, książek dla dzieci. W 1958 roku Koffi otrzymał 100 tysięcy starych franków. To nie było wiele, ale można było wiązać koniec z końcem. Koffi zasadził kilka młodych drzewek, aby zwiększyć swe dochody. Ale obecnie Koffi otrzymuje za tę samą ilość towaru tylko 61.600 starych franków, czyli o 40 tys. mniej.

Poziom życia Koffiego obniża się z każdym rokiem. Koffi nie pojmuje przyczyn swej tragedii.

Kto jest odpowiedzialny za spadek cen kakao?

GDY BOGACI STANOWIA PRAWA

Koffi wyhodował ziarno kakaowe i dostarczył je do kooperatywy. Tu zważono ziarno i powiedziano:

— Zapłacimy ci wtedy, gdy sprzedamy twoje kakao.

— Ile płacicie?

— To zależy od obowiązujących cen — od kursu. Cierpliwości, dowiesz się w swoim czasie.

Koffi zna ten dialog na pamięć. Powtarza się on co roku. Koffi wie, że cena nie będzie wysoka, że dla niego kurs nie będzie pomyślny. Ale kakao zostawia. Cóż ma zrobić? Koffi potrzebuje pieniędzy, aby przeżyć do następnych zbiorów. Pieniądzy za wszelką cenę.

Kooperatywa zbywa kakao potężnym firmom ludzi białych. Są oni doskonale zorganizowani, na całym świecie mają swych przedstawicieli, dysponują pieniędzmi, dużą ilością kapitałów.

PRZEZWYCIĘŻYĆ GŁÓD I NIENAWIŚĆ RASOWĄ

Pokojowe Zjednoczenie berneńskie (Szwajcaria) organizuje corocznie „Tydzień Pokoju”, w czasie którego są rozpatrywane konkretne problemy związane z utrwaleniem pokoju. W tym roku przedmiotem obrad były — głód w świecie oraz walka rasowa. Referenci i dyskutanci potraktowali głód i rasizm jako konkretne przeszkody uniemożliwiające trwałą pokój.

*

AXEL VON DEM BRISSE, przedstawiciel SRK twierdził, że głód jest elementem zagrażającym równowadze współczesnego świata, bez której nie może istnieć pokój. Według obliczeń

specjalistów amerykańskich rok 1984 zapoczątkuje epokę, w której — na skutek niepoahamowanego przyrostu ludności — konwencjonalna produkcja żywności absolutnie nie wystarczy. Kończy się epoka odżywiania się przy pomocy produktów rolnych. Już w latach siedemdziesiątych trzeba będzie sięgnąć po białka z olejów ziemnych i olejów wodnych, aby przezwyciężyć braki żywnościowe... Dostrzegamy niebezpieczeństwo

głodu, statystycy mogą obliczyć, gdzie i w jakim zakresie klęska głodu wystąpi, ale niewiele się robi, żeby klęskę zapobiec. Uczni wskazują na moc wiedzy, mężowie Kościoła na moc wiary, ale ci, którzy dzierżą władzę nie słuchają ani jednych ani drugich. Mimo to trzeba ustawicznie mówić o istnieniu problemu, trzeba tworzyć szeroko „front pokoju”, bo walka z głodem jest walką o pokój.

*

PASTOR DR HANS RUH, sekretarz szwajcarskiego Związku Kościołów ewangelickich mówił o przeciwnościach rasowych, które również stanowią przeszkodę w osiągnięciu pokoju. Przeciwności rasowe wytwarzają klimat rewolucyjny i nieuchronnie prowadzą do stosowania przemocy. O rewolucji rasowej można mówić zarówno w Afryce jak i w Stanach Zjednoczonych... Są to rewolucje na wielką skalę. Światowa Konferencja „Kościoł i Społeczeństwo” ohradująca w Genewie w 1966 roku wskazała, że w czasach współczesnych mówi się często nawet o rewolucyjnym zaangażowaniu chrześcijan. Skoro już Kościoły przezwyciężyły abstrakcyjną zasadę o „wojnie sprawiedliwej” i widzą swój podstawowy obowiązek w szerzeniu misji pokojowej, rodzi się pojęcie konieczności rewolucji, czyli — „sprawiedliwej wojny”: to jest dylemat rozwoju współczesnej rewolucji. Dylemat ten zaostża fakt, że współczesna rewolucja różni

Dzieci Trzeciego Świata nie spodziewają się radosnej przyszłości.





Jaki będzie kurs na kakao?

Gdy afrykańska kooperatywa proponuje sprzedaż 10 000 ton ziarna kakaowego, przedstawiciele wielkich firm mówią:

— To zbyt wysoka cena. Jeśli nie obniżycie ceny, nie kupimy. Dostaniemy kakao gdzie indziej: w Ghanie, w Brazylii...

Kooperatywa jest bezradna sprzedaje, bo Koffi potrzebuje pieniędzy.

Koffi w swojej wiosce Yamousoukro oczekuje końca transakcji... I z każdym rokiem otrzymuje mniej. Koffi jest coraz biedniejszy.

BIEDNI NIE MOGĄ SIĘ BRONIĆ

Czy kraje Trzeciego Świata nie mogą utrzymać cen na pewnym określonym poziomie? Czy nie mogą się bronić? Na razie nie, a to z następujących przyczyn:

— większość krajów biednych dysponuje tylko jednym produktem sprzedażnym, na skutek rozpowszechnionej i modnej w XIX wieku idei ekonomicznej lansującej tzw. nową kulturę;

— Tak więc kraje te muszą sprzedawać swój produkt, żeby żyć. Jest to produkt jedyny!

— produkcja krajów ubogich nie jest poszukiwana, bo kraje bogate mogą się obyć bez tych produktów.

Przypatrzmy się dla przykładu sytuacji Chile — eksporterowi miedzi. Kursy miedzi spadają, bo miedź można zastąpić aluminium.

Bawełna, len... kursy spadają, bo my wolimy włókno syntetyczne.

sie zasadniczo od dawniejszych ruchów tego typu. Tak np. — istnieją dzisiaj nieograniczone środki zarówno do przeprowadzenia jak i przeszkodzenia rewolucji, każda lokalna rewolucja może w krótkim czasie objąć cały świat, a siły atomowe zagrażają całej ludzkości. W przeciwieństwie do przeszłości ta nadmierna moc unieruchamia nas i konsekwentnie wymaga nowej strategii rewolucyjnej. Rewolucję przeprowadzają obecnie drobne zdecydowane grupy powstańcze, które bez przerwy wywierają skoncentrowany nacisk. Musimy uczyć się odtwarzać miłosierdzie w Kościele i w społeczeństwie i w tym sensie winniśmy prowadzić dialog między rewolucyjnymi i konserwatywnymi chrześcijanami...

*

Końcowy referat Tygodnia Pokoju był poświęcony problemowi zbrojeń. Wygłosił go Fritz Vilmar z Frankfurtu nad Menem, autor książki pt. „Zbrojenie i rozbrojenie w okresie późnego kapitalizmu”. Zdaniem Vilmara nie tyle chęć zysku ile system gospodarczy decyduje o zbrojeniu.

W krajach komunistycznych dzięki centralnemu planowaniu można przekształcić „przemysł zbrojeniowy” w produkcję dóbr konsumpcyjnych. Tego typu ośrodki planowania nie istnieją na Zachodzie i tu pojawiają się zasadnicze trudności (o charakterze strukturalnym i społecznym) uniemożliwiające takie zmiany. Sprawa jest skomplikowana, Vilmar przypomniał m.in. fakt, że Hitler przy pomocy zbrojeń rozładował bezrobocie, co nie udało się Rooseveltowi proklamującemu politykę „Nowego Ładu, (osiągnął to dopiero po rozwinięciu zbrojeń). Fakty te powo-

Kauczuk... doskonale spełnia jego rolę kauczuk syntetyczny.

Mniejsze zapotrzebowanie na miedź, na bawełnę, na kauczuk — to groźba głodu i nędzy dla ludzi Trzeciego Świata.

A MY SPRZEDAJEMY CORAZ DROŻEJ

Trzeci Świat otrzymuje za swe produkty coraz niższe ceny, a za towary kupowane u nas płaci coraz drożej. Oni potrzebują lokaty, cementu, obrabiarek, motocykli, maszyn do pisania... Bez tych artykułów nie mogą marzyć o postępie. Muszą więc płacić, żeby nasi technicy i nasi robotnicy otrzymywali coraz lepsze wynagrodzenie.

Wysoki funkcjonariusz kolumbijski mówi:

— W 1954 roku za jeden samochód płaciłmy 19 worków kawy, obecnie 32!

W 1954 roku dżip kosztował 14 worków, obecnie 39!

Afrykańczycy mówią:

W 1958 roku za tonę kakao otrzymywa-
liśmy 24 tony cementu, obecnie tylko 17,9.

*

Takie są fakty.

Ale przecież kraje bogate pomagają krajom rozwijającym się. Udzielają pożyczek, zapomóg.

W rzeczywistości wygląda to tak, że co prawą ręką dają, to lewą z nadwyżką odbierzemy. Oto przykład: Gwinea otrzymała w latach 1960—1965 — 60 milionów dolarów. W tym samym czasie straciła 200 milionów z powodu obniżki ceny na kakao i kawę.

Z faktów wynika, że kraje bogate, kraje przemysłowe, rozwinięte — stale eksploatują kraje rozwijające się, kraje biedne, kraje Trzeciego Świata. I to bez żadnych wyjątków.

Jak można pomóc krajom Trzeciego Świata?

Nieodzowne jest stosowanie innych zasad w handlu, większej uczciwości. Ustanowienia stałych cen na surowce i produkty, których dostarcza Trzeci Świat. Bez zastosowania tych środków zapobiegawczych każda tzw. pomoc jest tylko w mniejszym lub w większym stopniu oszustwem, jest okazją do ułatwienia sobie wycofania pomocy ze znaczną nawiązką.

dują, że obecnie w USA część związków zawodowych popiera rozwój przemysłu zbrojeniowego. Vilmar postulował rozwinięciu badań rozbrojenia od strony ekonomicznej.

Dwom miliardom ludzi zagraża niebezpieczeństwo głodu.



CENTRUM ZDROWIA DZIECKA

9 lutego opublikowano w prasie apel Honorowego Komitetu Budowy Centrum Zdrowia Dziecka.

Oto jego fragmenty:

„Wojna rozpętana przez hitleryzm w roku 1939 wymierzona była w to, co dla ludzi najcenniejsze — w ich wolność i poczucie godności.

Najstraszniejsze i najbardziej nikczemne w tym strasznym i nikczemnym pogromie faszystwu było prowadzenie wojny również przeciw dzieciom.

W latach 1939—1945 nie było na naszej ziemi takiego dnia, ani takiej nocy, by człowiek mógł zaznać spokoju i cieszyć się poczuciem bezpieczeństwa. Toczył się okrutny bój o istnienie narodu, jego wolność, godność i prawo do suwerennego istnienia. Toczył się bój o zasady człowieczeństwa i ocalenie świata, zagrożonego przez największe barbarzyństwo w dziejach.

W tej wieloletniej walce zakończonej pełnym zwycięstwem i triumfem człowieka, naród nasz poniósł olbrzymie ofiary. Wśród poległych w boju, wśród zamęczonych i zgładzonych — były tysiące dzieci.

Tysiące naszych dzieci.

Cierpienie ludzkie zawsze godne jest współczucia i pomocy. Męstwo i waleczność zawsze godne są hołdu. Lecz przecież niepodobna mierzyć jedną miarą cierpień, waleczności, męstwa ludzi dorosłych i dzieci...

Pośród ofiar faszystwu na ziemiach polskich były niemowlęta pozbawione jeszcze świadomości istnienia, dzieci stawiające pierwsze kroki, malcy którzy zaczynali dopiero poznawać świat, chłopcy i dziewczynki sposobności się do rozpoczęcia nauki w szkole, a także w wielkiej liczbie heroiczni sojusznicy dorosłych: harcerki i harcerze, dziewczęta i chłopcy, którzy chwytały za broń, szli na linię frontu, w bój partyzancki, do konspiracyjnego podziemia...

To oni właśnie, często bezimienni, to Janek, Zośka, Hanka, Franek — napisali najpiękniejsze i najbardziej wzniosłe rozdziały polskich dziejów wojennych...

Pisarka Ewa Szemberg-Zarembina, która od wielu lat cały swój bogaty dorobek tworzy poświęciła dziecku, wystąpiła z inicjatywą uczczenia pamięci walczących i cierpiących dzieci doby wielkiej wojny.

Jakiż może być pomnik trwalszy i piękniejszy od nowoczesnego Centrum Zdrowia Dziecka, w którym mali ludzie naszych czasów odzyskiwać będą zdrowie i radość dzieciństwa?...”

*

Przy stole świątecznym niech Ci ten apel przypomina, że najlepiej uczcisz pamięć polskich bohaterskich dzieci składając ofiarę na budowę Centrum Zdrowia Dziecka.
— Wszyscy wpłacamy na

Oddział PKO I O. Warszawa Nr 1-9-122-222 Pomnik — Szpital. Centrum Zdrowia Dziecka.

Kiedy we wrześniu 1939 r. Wehrmacht rozprawił się z Polską, wraz z oddziałami niemieckimi znalazło się na terenie zajętym przez armie Hitlera 560 kapelanów wojskowych. Zbrodnie Wehrmachtu dokonane na obywatelach państwa polskiego w okresie 55 dni, czyli w okresie poprzedzającym powołanie na okupowanym terenie administracji niemieckiej, w którym za wszystko co się na nich działo odpowiedzialny jest Wehrmacht, są ogólnie znane i przerażające. Służba duszpasterska Wehrmachtu w niczym nie przyczyniła się do zahamowania zbrodni. Działo się tak dlatego że duszpasterstwo to całkowicie solidaryzowało się z Hitlerem, jego polityką i metodami. W skład tej służby wchodziłi ludzie specjalnie dobrane, co dotyczy w równej mierze duchownych rzymskokatolickich jak i nie katolickich. Największą aktywność prohitlerowską wykazali wszakże duchowni rzymskokatolicy, na czele ze swoim biskupem połowym Franzem Josefem Rarkowskim.

Po najeździe na Związek Radziecki duszpasterstwo Wehrmachtu (i nie tylko ono) pełną garścią sięgnęło do misyjnych tradycji niemieckiego imperializmu, najwyraźniej reprezentowanych swego czasu wobec Polski przez Krzyżaków. Duszpasterstwo wojskowe głosiło krucjatę religijną ośniewającą nią istotę hitlerowskich celów w wojnie z ZSRR. W liście pasterskim z 29 lipca 1941 r. biskup połowy pisał:

„Jak już nieraz w dziejach bywało, tak i dziś Niemcy stali się zbawcą i pierwszym bojownikiem Europy.

Wojna z Rosją to europejska wyprawa krzyżowa. Dlatego nie jest przesadą, gdy mówię wam dzisiaj: oto wy, tam na Wschodzie, jak ongiś rycerze zakonni, macie do wykonania zadanie o wyjątkowym znaczeniu, którego skutków dla naszego narodu, całej Europy, a nawet całej ludzkości nie sposób dzisiaj nawet myśleć ogarnąć...”

Katolicki socjolog, profesor uniwersytetu im. św. Ignacego Loyoli w Chicago, Gordon C. Zahn w swoim obszernym studium o katolicyzmie niemieckim wręcz stwierdza, że postawa niemieckiego kleru wobec wojny narzuconej światu przez Trzecią Rzeszę to nic innego, tylko „czynny, skoordynowany i trwały wysiłek hierarchii niemieckiej służący zachęcaniu, podtrzymaniu i intensyfikacji udziału katolików w wojnie. W postawie takiej nielato doszukać się po chrześcijańsku rozumianych motywów religijnych, za to przebijają z niej motywy par excellence szowinistyczne. Ubiieranie imperializmu niemieckiego w atrybuty apostołatu chrześcijaństwa na Wschodzie, zapoczątkowane we wczesnym średniowieczu, poprzez „Święte Cesarstwo”, krzyżactwo i Wehrmacht wniesione zostało do życia społecznego NRF a ze szczególnym natężeniem do jej sił zbrojnych a rola duszpasterstwa w Bundeswehrze stała się bez porównania większa niż była w Wehrmachcie.

Organizacja duszpasterska

Pracą polityczną w Bundeswehrze kieruje tzw. „Innere Führung” i formalnie służy duszpasterstwa stanowi niezależny od niej pion. Niezależny tylko formalnie, powiedzmy raz jeszcze, jest bowiem najzupełniej zależna od strony inspiracji politycznej.

Na czele wojskowej służby duszpasterskiej w Bundeswehrze stoją biskupi połowy (Militärbischofe) mianowani przez episkopat kościoła rzymskokatolickiego w uzgodnieniu z właściwymi czynnikami państwowymi. Jako organy tego pionu istnieją — Katolicki Urząd Biskupa Wojskowego (Katholisches Militärbischofsamt) i Urząd Kościoła Ewangelickiego dla Bundeswehry (Evangelisches Kirchenamt für die Bundeswehr).

Obydwa urzędy są bezpośrednio podporządkowane bońskiemu Ministerstwu Obrony i pod względem politycznym bacznie przez ministerstwo kontrolowane. Terytorjalnie z poszczególnymi okręgami wojskowymi pokrywają się dekanaty wojskowe, kierowane przez dziekanów, natomiast w korpusach, dywizjach i brygadach oraz w ich odpowiednikach floty morskiej i powietrznej działają starsi kapelani (Militäroberpfarrer) i kapelani (Militärpfarrer) „Militärpfarrerów” jest w Bundeswehrze bardzo pokaźna liczba. Podczas gdy

w Wehrmachcie jeden kapelan przypadał na 15 tys. żołnierzy, stosunek ten w Bundeswehrze wyraża się — 1 kapelan na 1350 żołnierzy a roczny budżet służby duszpasterskiej oscyluje w granicach 10 milionów marek. Oprócz stałej kadry duszpasterskiej na odcinku „opieki religijnej” w wojsku działa około 150 duchownych nie posiadających etatów w Bundeswehrze. Podstawowym ogniwem organizacyjnym jest „wojskowa gmina kościelna” (Militärkirchengemeinde). Komórki te według instrukcji ministerstwa obrony mogą być zmieniane wyłącznie za jego wiadomością i wszelkie reorganizacje wewnętrzne w nich zatwierdzone przez ministerstwo, podobnie jak zakres działalności ich kapelanów. Urzędy każdego z kościołów a ściślej ich biskupi odpowiedzialni są za dobór kapelanów, utrzymują nad nimi zwierzchni nadzór, nadzorują wykonywanie zarządzeń dotyczących kształcenia kapelanów (czytaj — szkolenia politycznego) i ich pracę, wizytują gminy, odbywają z kapelanami systematyczne konferencje instruktażowe, ustalają formy współpracy duszpasterstwa wojskowego z parafiami cywilnymi i duszpasterstwem armii sojusznicych. Natomiast dziekanowie zobowiązani są do stałego informowania dowódców okręgów o swojej działalności i jej wynikach, o zmianach natury personalnej, do zbierania i opracowywania doświadczeń z pracy duszpasterskiej w specjalnych rodzajach wojsk. Bardzo znamienne jest zobowiązanie diakonów do spełnienia życzeń dowódcy dotyczących służby duszpasterskiej. Warunek ten w wielu przypadkach daje dowódcy priorytet przed biskupem i w znacznym stopniu uniezależnia kapelanów od biskupów. Mieści się też w tym gwarancja politycznej lojalności kapelanów. Ponieważ zaś do gmin wojskowych oprócz żołnierzy Bundeswehry należą ich rodziny i pracownicy jednostek wojskowych zasięg oddziaływania kapelanów bardzo znacznie przekracza ilościowy stan federalnych sił zbrojnych. Kapelanem wojskowym nie może zostać pierwszy z rzędu duchowny. Od kandydatów wymaga się spełnienia szeregu warunków, wśród nich posiadania trzyletniej praktyki na stanowisku kierownika parafii i nie przekroczenia 35 lat życia. Wyłącznie minister obrony narodowej, na wniosek biskupa może uchylić którekolwiek z ustanowionych wymagań.

Kapelan wojskowy w codziennym życiu służbowym bardzo niewiele różni się od oficera liniowego i podlega rozkazom dowódcy jednostki w zakresie zajęć jednostki. Podczas ćwiczeń mają oni obowiązek uczestniczenia w nich, noszą ćwiczebne umundurowanie i oficerski ekwipunek połowy, mają przydzielone samochody i pomocników, których funkcje są połączeniem zajęć ordynansa, kościelnego i kierowcy samochodu. Oprócz zgłoszeń obohatnych służba duszpasterska rekrutuje się z duchownych powoływanych do Bundeswehry na 5—8 lat. Między Wehrmachtem zachodzi w tym ta różnica, że kapelani Wehrmachtu byli powoływani na okres nieoznaczony. W służbie duszpasterskiej federalnych sił zbrojnych znajduje się poważny odsetek byłych kapelanów Wehrmachtu a najchętniej widziani są ci, którzy wstąpili do stanu duchownego będąc poprzednio oficerami służby czynnej Wehrmachtu.

Niezależnie od tego kapelani mają przydzielone sobie grupy żołnierzy obowiązanych do służenia do mszy, wykonywania pomocniczych czynności propagandowych (rozdzielanie lektury religijno-politycznej, gazet itp.), pilnowania kolegów by nie zaniebdywali uczestnictwa w imprezach organizowanych przez kapelanów, nie wypowiedzieli się przeciw nim itd.

Działalność ideologiczna

Obskurnie dewocyjna w swej formie, działalność duszpasterska Bundeswehry jest w swej treści szerzeniem upolitycznionego klerikalizmu i daleko posuniętą wulgaryzacją religii, jako takiej. Działalność ta nosi urzędową nazwę krzewienia wiedzy o życiu (Lebenskundliche Unterricht). Raz w tygodniu kapelan wygłasza żołnierzom wykład z wiedzy o życiu, będący przygotowaniem do następujących po nim wykładów oficerskich z zakresu wychowania obywatelskiego i aktualnej informacji (Staatsbürgerliche Unterricht und aktuelle Information). Według instrukcji ministerstwa obrony „Lebenskunde” ma „w nowej formie spełniać posłannictwo Kościoła. Żołnierz ma być pouczony o sile jaką daje wiara i dojść do jasnych wniosków odnośnie codzienności. Ma ona

pomóc żołnierzowi w rozwiązywaniu najważniejszych problemów jak np. stosunek do naszej historii”. Stosunek do najnowszej historii Niemiec ma być natomiast jednoznaczny. Najwyraźniej sprecyzował go były kapelan Wehrmachtu a obecny kapelan Bundeswehry A. Schirmer, w liście do kapelanów ogłoszonym przez „Deutsche Soldaten Zeitung” w 1960 r., kiedy o prawdziwym duchu Bundeswehry mówiło się mniej jawnie, niż obecnie. A. Schirmer wyklada co następuje:

„Wojna ze Wschodem wytoczyła już przed laty, naszą wspólną, życiową drogę. Wspólne doznania i wspólna dola stworzyła silną więź między nami, duchową jedność. Powróciliśmy do ojczyzny, pragnąc jak najszybciej otrząsnąć się ze swoich doznań i wspomnień.

Jednakże Wschód znowu stanowi dla nas zagrożenie. Mijamy więc trzeźwą ocenę sytuacji. Nie dajmy się uśpić pokojową muzyką Wschodu. Pamiętajmy, że ostateczne i decydujące rozstrzygnięcie losów nastąpi. Współczesna walka wymaga od nas nieograniczonego osobistego zaangażowania”.

Stosunek do historii kształtują kapelani wyświeceniem filmów z ostatniej wojny, wśród których nie brakuje filmu „Feldzug in Polen” („Pochód na Polskę”) i filmów z wojny z ZSRR i innych teatrów działań wojennych. Niekiedy kapelani ilustrują wykłady własnymi zdjęciami, robionymi podczas służby w Wehrmachcie. W kształceniu religijnym „kapelani mają do dyspozycji” bogaty zestaw wydawnictw z oficjalnym periodykiem duszpasterstwa Bundeswehry „Mann in der Zeit” na czele i podstawową, obowiązkową lekturę żołnierską pod tytułem „Listy do żołnierzy”. Poziom tego czasopisma nie wytrzymuje najogólniejszej krytyki a mówią o nim choćby same nagłówki artykułów. Oto kilka próbek: — „Jak duch rządzi światem”, „Diabeł jako twórca wydarzeń historycznych”. Mówi się w tych artykułach o bezpośrednim udziale złych i dobrych duchów w procesach historycznych, w sposób przypominający średniowieczne plebeńskie kazania. Znajdujemy w „Listach” również sformułowania tego typu i „Być dobrym chrześcijaninem to znaczy być spadochronowym strzelcem Pana Roga”.

Kapelani nie ograniczają swojej pracy wyłącznie wśród społeczności żołnierskiej. Wychodzą z nią poza wojskową społeczność ze specjalnym uwzględnieniem młodzieży przedpoborowej. Ich pieczy powierzono zwłaszcza zagadnienia związane z tzw. „Wehrvorbereitungsfraße”.

Organizują oni spotkania z poborowymi, wygłaszając na nich referaty i prowadząc dyskusje. Tematy spotkań są m. in. takie: „Młody chrześcijanin apostołem w koszarach”, „Dlaczego dobry chrześcijanin powinien być dobrym żołnierzem NRF?”, „Z kim będą walczyli chrześcijanie i dlaczego na wypadek wojny?” Kapelani rozsyłają przedpoborowym i poborowym zaproszenia do brania udziału w życiu wyznaniowych gmin wojskowych, w uroczystościach garnizonowych, zapraszają na filmy i ohdarzają wydawnictwami.

Nawet rekolekcje ewangelickie i katolickie, organizowane w koszarach mają wybitnie polityczne zabarwienie. Trwają one od 2 do 4 dni a akcenty polityczne w kazaniach na wszelki możliwy sposób wiązane są z motywami religijnymi.

Głównym źródłem inspiracji i instruktażu dla duszpasterstwa jest szkoła „Innere Führung” w Koblencku. Co pewien czas odbywają się tam konferencje dziekanów i co wybitniejszych kapelanów. Mówi się na nich otwarcie, że dowództwo Bundeswehry żąda pomocy od filozofii chrześcijańskiej i teologii, której niemieccy filozofowie i teologowie winni udzielić w sposób teoretyczny i praktyczny, że chodzi o ideologiczne i moralne dobrostwo Bundeswehry. Każdy kto próbuje protestować przeciw wykorzystywaniu teologii do doraźnych potrzeb politycznych jest z miejsca zakrzyczany i zagłuszony.

Wobec odważniejszych duchownych stosowany jest szantaż — wielu sfanatyzowanych oficerów grozi wystąpieniem z Kościoła jeśli duchowny spróbowałby przeciwstawiać się wykorzystywaniu religii politycznym celom sił zbrojnych.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

Wielkanoc, Święcone, Dyngus, Emaus

Z pism Lucyana Siemieńskiego

(Fragmenty)

Zaglądawszy tylko w tajniki każdego domu, co jeszcze staropolski przechowuje zwyczaj, ujrzałbyś, jaki tam za męt panuje w ostatnich dniach Wielkiego Tygodnia! Pani domu nocy nie dosypia, czuwając nad ruszającymi się ciastami, doglądając gorącości pieca, siłąc głowę nad najgustowniejszym ubraniem i ulukrowaniem bab i placków, w które sypie przedziwne kardyały i słodycze. A teraz dopiero gdy przyjdzie zastawa! Jaki rozmyśl artystyczny! Na ogromnym stole przykrytym śnieżnym obrusem, środek zajmują szynki, ozory, nadziewane prosięta, pieczone baranki, niby to stara gwardya, falanga, o którą rozbijają się najzuchwalsze apetyty, wszystko to kupi się w spokojnej powadze dokoła Agnus Dei, misternie wyrobionego z masła trzymającego jak hetman tego dnia, chorągiew zmartwychwstania.

Na skrzydłach tego taboru, stoją podobne wieżom, baby zadziwiające ogromem, a jeszcze więcej lekkością, taka baba to prawdziwy „Meisterstück” dobrej gospodyni; ciasto jej śnieżne, lekkie, puchowe, wywołuje pochwały mężczyzn, zazdrość obudzają w sąsiadkach, które albo nie znały tajemnicy pieczenia, albo żałowały zachodu i pilności i rumienia się widokiem swoich bab z zakalcem. Dalej na brzegach stołu stoją podobne rzymskim mozaikom placki, mazurki z najfantastyczniejszymi wzorami, pełne kokieterji i smaku; a wszędzie zielenią się kity bukszpanu, niby to laur wieńczący bohaterów dnia tego; a wszędzie rozrzucone jaja, podobne do piramid, kul i granatów leżących na wałach twierdzy... Pożywianie święconego jajka jest treścią, głównym symbolem obchodu, jak przy łamaniu opłatka na Wigilię kołędową, gospodarstwo częstuje niem każdego gościa, życząc szczęśliwego Alleluja i wszelkich pomyślności w życiu. Zwyczaj to starożytny, sięgający owych wieków, kiedy oddawano jeszcze cześć siłom natury. Kościół go zachował, bo myśl jego tłumaczył. W wielu miejscach, gdzie nawet nie wiedzą o zwyczaju święconego, dzieła się jajkiem. Zdaje się, że ubóstwienie słońca było wspólnem wszystkim pierwotnym religiom; jaje, ten symbol życia w zarodku, składano na ofiarę promiennemu bogu, który ciepłem swoim życie wyprowadzał z niego. Jeszcze dziś w jednej z najgłębszych alpejskich dolin, gdzie przez kilka tygodni roku nie dochodzi promień słoneczny, w dniu, w którym ma się ukazać na horyzoncie, wybiegają mieszkańcy o wschodzie, niosąc misy napełnione jejcownicą i przy odgłosie śpiewów i brzęku miedzianych narzędzi spożywają takową. Ale mniejsza o ginący w imię wieków i podań zwyczaj święconego; dość że to nasz ojczysty, staroświecki, a jeszcze więcej, że uświęca gościnność, że gromadzi ludzi i łączy ich ze sobą nie w imię przedsiębiorstw i spekulacji, ani rachub politycznych, ale jakimś serdecznym,



Dyngus — mal. Zofia Stryleńska (ur. 1894)

fol. St. Sobkowičz

przyjacielskim i patryarchalnym węzłem. Co za szkoda, jeżeli go ochrzczimy mianem przesądu i wygonimy spośród nas jako zbytek barbarzyństwa.

Opisy niektórych święconych są jakby wyjęte z Tysiąca nocy i jednej. Weźmy tylko jedno takie święcone u Sapiehy w Debreczynie z czasów Władysława IV: „Stało cztery przeogromnych dzików — powiada kronikarz — to jest tyle, ile części roku, każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, alias szynki, kielbasy prosiątka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczeniu całkowitem tych odyńców. Stało tandem dwanaście jeleni, także całkowicie pieczonych, ze złocistymi rogami, ale do admirowania, nazdiane były rozmaitą zwierzyną, alias zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jelenie wyrażały dwanaście miesięcy. Naokoło były ciasta sążniście tyle ile tygodni w roku, to jest pięćdziesiąt dwa, całe cudne placki, mazury, żmujdzkie pierogi a wszystko wysadzane bakalią. Za tem było 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Każde było adorowane inskrypcjami, floresami, że niejedem tylko czytał, a nie jadł. Co zaś do bibrndy: były cztery puhary, exemplum czterech pór roku, napełnione winem jeszcze od króla Stefana. Tandem 12 konewek srebrnych, z winem po królu Zygmuncie, te konewki exemplum 12 miesięcy. Tandem 52 baryłek także srebrnych in gratiam 52 tygodni, było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej 365 gąsiorków z winem węgierskiem, alias tyle gąsiorków ile dni w roku. A dla czeladzi dworskiej 8700 kwart miodu robionego w Brezie, to jest ile godzin w roku.

Przyznam się, że homeryczne uczyty, na których zastawiono ćwierci wołów i całe woły i barany, błędną przy staropolskim święconem, mogącym się porównać ze zbytkiem i rozkoszami wyspy Szczęśliwości, tak dowcipnie opisanej przez Felonę, gdzie tak był wszystkiego dostatek, że potrzeba było kupować sobie nie jado, lecz apetyt, co zdaje się wychodzi na jedno. Ależ puśćmy się dalej drogą uroczystości wielkanocnych. Dzień pierwszy, jak zwyczaj każe, obchodzony bywa w domowym kole. Gospodarz przyjmuje odwiedziny osób, które nie robią święconego u siebie. Nazajutrz odwiedzają się wszyscy. Poniedziałek otwiera

się powszechnie bardzo osobliwym zwyczajem, rozpowszechnionym i u ludu i u klas wyższych. Ledwo bowiem oczy otworzył, a może jeszcze snem sklezione, kiedy budzi cię zimna kąpiel. Szklanka wody wylana na twoją głowę, zmusza cię zerwać się z łóżka; chciałybyś zlorzeczyć, lając psotnika albo psotnicę, darmo! Śmiech tylko wzbudziś czoło schylić przed starym zwyczajem — bo oblewany poniedziałek, a raczej Dyngus lub Śmigus.

U Słowian z wiosną był początek roku, że właśnie pod ową porą topiono Marzanę, śmierć czyli zimę — a przekonamy się, że zbytek dyngusu najbliżej odpowiada wyobrażeniu odmłodzonego życia.

Lud wiejski, trzymający się wiernie starożytnego zwyczaju, w dniu tym wyprawia sceny pocieszne a mianowicie około studzien. Parobcy od rana gromadzą się, czatując na dziewczki idące czerpać wodę i tam porwawszy między siebie ofiarę, leją na nią wodę wiadrami, albo też po prostu zanurzają w stawie, niekiedy w przerebli, jeżeli lód jeszcze trzyma. Porównać — że ten sumieniny dyngus z delikatnym flakonikiem kołońskiej wódki — jaka różnica! Jaka wyraźna wskazówka, że w wyższym polorze muszą się zatrzeć te wybitne i szorskie cechy starego obyczaju!

Po miastach mianowicie, a tem samem w Krakowie, w pierwszy poniedziałek wylega co żyje na Emaus. Jest to na pamiątkę objawienia się Chrystusa uczniom będącym w drodze do miasta Emaus. U nas celem przechadzki bywa Zwierzyniec, pieszo, kono i powozami (których niestety! niewiele świętych) jaki taki pośpiesza użyć świeżego powietrza, błysnąć świeżym kapelusiakiem i modną sukienką. Przechadzka ta miałaby niezawodnie to samo znaczenie co Corso lub Longchamps, gdyby u nas cokolwiek mogło mieć znaczenie. Ze Zwierzynca, który wcale nie wygląda na miejsce eleganckiej przechadzki, ochotniejsza młodzież i osoby lubiące święcić drogie pamiątki, udają się na Kopiec Kościuszki, skąd każdy może rzucając wzrok na kilkomilową przestrzeń, urozmaiconą wzgórzami, błoniami, ocienioną lasami, ożywioną nurtem Wisły, powitać bóstwo wiosny w zielonym wianku zstępujące na ziemię.



Jerozolima: kościół Grobu Chrystusowego

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że ze wszystkich autorów Ewangelii tym, który największy nacisk kładł na działalność nauczycielską Jezusa w Jerozolimie, był apostoł Jan. Oczywiście nie znaczy to, że pomija on całkowicie działalność Chrystusa na terenie Galilei, ale wspomina o niej bardzo rzadko. Spróbujemy teraz podkreślić kilka momentów, w których obecna archeologia rzuca ciekawe światło na opowieści ewangeliczne.

Wiele ustępów Ewangelii mówi o zdarzeniach, które rozegrały się w Świątyni. Posługując się świadectwem Józefa i przy współudziale nowoczesnej interpretacji jego pism możemy odtworzyć wiele wypadków, o których wspomina Nowy Testament. Tak więc na przykład ofiarowanie Dzieciątka w Świątyni (por. Łk 2, 22) miało prawdopodobnie miejsce u drzwi wiodących z Dziedzińca Niewiast do Dziedzińca Mężczyzn. Trudno jednak orzec, gdzie siedział dwunastoletni Jezus, gdy zadawał pytania uczonym doktorom (por. Łk 2, 46—50) ale musiało to być gdzieś w Zewnętrznym Dziedzińcu, gdzie odbywały się publiczne nauczania. Świątynia występuje również w opowieści o kuszeniu Pana Jezusa i wspominaliśmy już powyżej o owym ganku wieńczącym jej szczyt (pinaculum templi; por. Mt 4, 5; Łk 4, 9). Wiemy, że Chrystus przeneśli kupujących z Dziedzińca pogan (por. Mt 21, 12 ns; Mk 11, 5; Łk 19, 45 ns; Jan 2, 14—16). Przypuszcza się, że wszelkiego rodzaju handle i transakcje odbywały się w Krużganku Królewskim na południowym krańcu wielkiego okręgu świątynnego. Pewnego dnia Jezus zabronił używać tego miejsca jako publicznej drogi (por. Mk 11,16).

Po krótkim pobycie w Jerozolimie Jezus udał się do Galilei, ale potem powrócił do Jerozolimy na „święto” żydowskie, prawdopodobnie na święto Paschy. Przy tej okazji przechodząc koło Bramy Owczej (Trzody) zatrzymał się nad brzegiem sadzawki Betsaida i uzdrowił człowieka chorego od trzydziestu ośmiu lat (por. Jan 5, 15). Zdaniem niektórych uczonych jesteśmy dziś w posiadaniu pewnych źródeł archeologicznych odnoszących się do tego miejsca. W paru starożytnych rękopisach zamiast nazwy Betsaida (Betesda) figuruje wyraz Bezeta (Betzeta). Wyraz ten przypomina na-

Jezus w Jerozolimie

Ogród Oliwny



zwę dzielnicy (Bezeta vel Betzeta) leżącej na północ od drugiego muru. Są pewne dane, by przypuszczać, że sadzawka należąca dziś do klasztoru Świętej Anny na terenie starożytnej Bezety, jest właśnie ową sadzawką z Ewangelii. Te wszystkie sadzawki starożytne, obecnie znajdujące się dużo niżej od poziomu ziemi, zostały niezmiernie starannie przebadane przez Białych Ojców. Pozostałości filarów dokoła tego terenu wskazują na obecność „krużganków”, o których mówi Jan (por. 15, 2) L. H. Vincent i N. van der Vliet również opowiadają się za taką interpretacją tego miejsca. W ostatnich czasach R. de Vaux i P. Rousee poszerzyli teren wykopalisk i odkryli pozostałości bizantyjskie i rzymskie.

Jeśli dalej w chronologicznym porządku śledzimy życie Chrystusa, dochodzimy do okresu, gdy zaczyna On nauczać w Judei. Wtedy również wiele razy bywał w Świątyni. Wiemy, iż był tam na święcie Namiotów (por. Jan 7, 10—52), mówiąc ściślej, pojawił się po raz pierwszy w czwarty dzień uroczystości (por. 7, 14), a potem w ostatni dzień, gdy przemawiał do tłumów. W dniu tym odbywało się uroczyste ofiarowanie złotego naczynia z wodą, którą przynosi się

z sadzawki Siloe. Korzystając z tej sposobności Jezus oświadczył, że jedynie w Nim jest źródło wody żywej. Sadzawka Siloe jest dziś dobrze nam znana. Do niej właśnie doprowadza wodę ważny kanał ze źródła Gihon, czyli tak zwanego źródła Dziewicy, które w ten sposób zaopatruje w wodę samo serce miasta Dawidowego. Kanał, który znajduje się tam po dziś dzień, został prawdopodobnie wykuty z rozkazu króla Ezechiasza (por. 4 Król 20, 20). W tym właśnie tunelu odkryto w roku 1880 słynną inskrypcję z Siloe. Wiemy również, że do tej samej sadzawki Siloe odesłano ślepego od urodzenia, którego Jezus uzdrowił polecając mu obmyć się w jej wodach (por. Jan 9, 17).

Innym razem czytamy, że Jezus wszedł do Świątyni w święto Poświęcenia Świątyni i przechadzał się w krużganku Salomona (por. Jan 10, 23). Było to zimą — wedle relacji Jana — i być może, że Jezus w poszukiwaniu słońca i ochrony przed wiatrem dołączył się do ludzi stojących po wschodniej stronie wielkiego dziedzińca. Mówił wówczas o tym, że On i Ojciec są jednym, czym wzbudził tak wielkie oburzenie u Żydów. Po nauczaniu w Perei po raz ostatni wrócił do Jerozolimy, aby odbyć triumfalny wjazd do miasta (por. Mt 21, 1 ns.; Mk 11, 1 ns.). Jak już mówiliśmy, przypuszcza się, że Jezus wjechał do miasta przez bramę wschodnią, która stała na miejscu dzisiejszej Złotej Bramy. Wtedy Chrystus po raz drugi wypędził kupców z Świątyni, przypuszczalnie tak samo jak za pierwszym razem (por. Mt 21, 12 ns.; Mk 11, 15—18; Łk 19, 45—48). W tym ostatnim okresie życia Jezusa faryzeusze i słudzy Heroda usiłowali pochwytać Go na krytyce cesarza, podsuwając mu monetę czynszową. W tych samych dniach Jezus pochwalił ubogą wdowę, która złożyła w ofierze swoje szelągi wrzucając je do skarbony Świątyni na dziedzińcu Niewiast (por. Mk 12, 41—44).

Tymczasem zbliżał się dzień ukrzyżowania. Jezus mówił o zbliżającej się śmierci, o zburzeniu Jerozolimy i Świątyni. Gdy pewnego dnia wychodził ze Świątyni, któryś z uczniów zwrócił uwagę na wielkie kamienie tej budowli. I wówczas Chrystus zapowiedział, że nie zostanie z niej kamień na kamieniu (por. Mk 13, 1 ns.).

Aż wreszcie przyszedł Ogrójec. Nie znamy dokładnie miejsca, gdzie Chrystus spędził ostatnie godziny na modlitwie. Wiemy jedynie, że było to za doliną Cedronu, na uboczu Góry Oliwnej. Zdania uczonych są podzielone, jeśli chodzi o ściśle zidentyfikowanie tego miejsca. Zwiedzający dziś Palestynę nie bardzo wie, komu ma wierzyć, gdyż katolicy, grekokatolicy, ormianie i prawosławni ukazują, każdy gdzie indziej, miejsce Ogrójca. Wedle najstarszej tradycji znajdował się on tam, gdzie jest Grobowiec Najświętszej Panny. Ale faktem jest, że nie mamy żadnej dokładnej wskazówki, czy to archeologicznej, czy ściśle historycznej, która by pozwalała zidentyfikować z całą pewnością to miejsce.

Nie łatwiej jest ustalić, gdzie miały miejsce ostatnie chwile Jezusa na ziemi, choć i tu pokazuje się oszatomionemu faryzei wiele najróżniejszych miejsc. Nie wiadomo, w którym z domniemyanych punktów znajdowało się więzienie Pana Jezusa (dom Kajfasza), miejsce sądu i „grobowiec w ogrodzie”. Dla kilku z nich można by przytoczyć pewne źródła archeologiczne, które z czasem mogą okazać się cennym świadectwem.

Pierwszym takim miejscem, które dałoby się zidentyfikować na podstawie pewnych danych, jest pretorium, gdzie odbywał się sąd nad Jezusem. Wiemy, że po pojmaniu Jezusa w Ogródzie Oliwnym przesiuchiwał Go arcykapłan Annasz (por. Jan 18, 13), następnie Kajfasz i Sanhedryn (por. Mt 26, 57—68; Mk 14, 53—56; Łk 22, 54—71;

Jan 18, 24). Wreszcie, aby prawu stało się zadość, o świcie Sanhedryn wydał wyrok skazujący (por. Mt 27, 1 ns.; Mk 15, 1; Łk 22, 66—72). W tym czasie rozegrała się scena zaparcia się Piotra i moment ostatniej rozpaczki Judasza. Potem Jezus staje po raz pierwszy przed obliczem Pilata (por. Mt 27, 2, 11—14; Mk 15, 1—5; Łk 23, 1—5; Jan 18, 28—38), który z kolei odwołał się do Heroda Antypasa, ówczesnego władcy Galilei, skąd pochodził Jezus (por. Łk 23, 6—12). Wreszcie Jezusa odsyłają po raz drugi do Pilata i ten opieszale i niechętnie, a nawet z pewną obawą, wydaje Go na śmierć krzyżową.

W związku ze sceną sądu przed Pilatem tekst Nowego Testamentu, a zwłaszcza Ewangelia Jana, zawiera pewne ważne stwierdzenia. Po wydaniu Jezusa Żydom Pilat „kazał Jezusa wyprowadzić na zewnątrz i zasiadł na trybunie (gr. bema), na placu zwanym Lithostrotos (po grecku), a po hebrajsku Gabbatha” (Jan 19, 13). Wyraz hebrajski oznacza dosłownie „grzbiet” lub „wyniosłość terenu”. Wszczęto więc poszukiwania za jakąś „kamienną posadzką”, którą by można połączyć z budynkiem, gdzie Pilat wówczas zasiadał. Od długiego czasu toczy się spór o umiejscowienie pretorium, o którym wspomina Marek (por. 15, 16), dokąd zaprowadzono Jezusa po skazaniu Go przez Pilata. Zdaniem jednych uczonych, Jezus był wystawiony na widok publiczny w pretorium, które mieściło się, jak się zdaje, raczej w pałacu Heroda, a nie w ko-szarach Antonii. Ta sporna kwestia stała się przedmiotem nowego zainteresowania z chwilą pewnego odkrycia dokonanego w trakcie prac wykopaliskowych prowadzonych na północny zachód od obecnego obszaru Świątyni przez zakonnice „Les Dames de Sion” i franciszkanów z klasztoru Biczowania Pańskiego. Otóż tu, na miejscu dawnej fortecy Antonii, pod tak zwanym Łukiem Ecce Homo, odsłonięto dużą rzymską posadzkę, która zajmuje nie mniej niż 2500 m kw. Była to posadzka kamienna twierdzy Antonia i znajdowała się na skalistym wzniesieniu, które dominowało nad otaczającym ją terenem. Nazwa „Gabbatha” doskonale odpowiada temu miejscu. Warto przypomnieć, że Łuk Ecce Homo znajdujący się w pobliżu był zbudowany ponad tym „brukiem” w wiele lat po zawaleniu się tejże „posadzki” pod ruinami Antonii, w okresie Aelia Capitolina. Łuk ten zatem w żadnym wypadku nie należy do tej „posadzki” czy „bruku”. Zdaniem W. F. Al-



Jezus i uczniowie wchodzą do Jerozolimy

brigha, „lokalizacja lithostrotos została dokładnie ustalona dzięki L. H. Vincentowi, który wykorzystał zarówno dokładne badania skały w rejonie zamku Antonia (w północno-zachodnim narożniku obszaru Świątyni), jak i badania prowadzone przez wiele lat przez Les Dames de Sion i ojców franciszkanów z Klasztoru Biczowania”. Interesujące są również znaki wyskrobane w kilku miejscach na kamieniach tej „posadzki”; jak widać, służyły one za szachownicę do gry, w którą grywali żołnierze rzymscy pełniący służbę.

Mimo iż wspomniane świadectwa wydają się raczej przekonujące, są jednak uczeni, którym one nie wystarczają. Fakt, że nie znaleziono na terenie pałacu Heroda żadnej posadzki — twierdzą oni — wcale jeszcze nie znaczy, że na pewno takiego bruku tam nie było. Dalej, wydaje im się bardziej prawdopodobne, że Pilat zjechałszy w okresie Paschy z Cezarei do Jerozolimy, zatrzymał się w pałacu Heroda, a nie w Antonii. Józef Flawiusz, opisując późniejsze czasy, opowiada, że prokurator Florus zasiadał na sprawowanie sądów przed pałacem Heroda. A więc musiał się gdzieś tam znajdować tron (bema) sedzięgo, postawiony



Droga na Górę Oliwną



Jerozolima: Plac Świątyni Salomona

dla Heroda, gdy pełnił swe zwykłe funkcje sędziowskie. Stąd wniosek, że w takich ramach wejście do pałacu mogło nosić nazwę pretorium. Zdanie to wbrew kilku swym kolegom, podziela katolicki uczyony, P. Benoit. Zgadza się z nim również tak kompetentni uczeni jak E. G. Kraeling i G. E. Wright. Jeśliby więc ta hipoteza była słuszna, wówczas tradycyjna Via Dolorosa nie może być tą drogą, którą Jezus szedł z rezydencji Pilata na miejsce ukrzyżowania. Idąc do Heroda Antypasa (por. Łk 23, 7), Jezus musiałby zatem iść w odwrotnym kierunku, to znaczny od pałacu Heroda ku Antonii, zatrzymując się może przy pałacu Hasmonejczyków. W odpowiedzi na te wątpliwości L. H. Vincent wyjaśnia, że Antonia mogła być kiedyś pierwszym pałacem Heroda i potem zatrzymała już tę nazwę. Jak wynika z tego, cośmy spróbowali tu przedstawić, nie można jeszcze wypowiedzieć się na temat w sposób definitywny, ale nie ulega wątpliwości, że obecna dyskusja wyłoniła sporo ważnych momentów, które przyczynią się w przyszłości do rozwiązania tego zagadnienia lub choćby do wykluczenia błędnych hipotez.

Miejsce Kalwarii oraz grób, gdzie złożono ciało Jezusa, są również trudne do zidentyfikowania. Bardzo wiele w tym względzie zależy od położenia drugiego muru miasta, gdyż wiemy, że ukrzyżowanie miało miejsce na zewnątrz tego muru. Wedle tradycji, obecny kościół Świętego Grobu stoi na miejscu Kalwarii, a grób musi być gdzieś tu w pobliżu. Jeżeli wierzyć tej tradycji, mur miasta za czasów Pana Jezusa przebiegał na wschód od kościoła, tak, że to miejsce było już poza murami.

Jak już widzieliśmy, Józef Flawiusz określa początek i koniec drugiego muru. Wiemy, że mur kończył się na zamku Antonia, i to świadectwo jest dla nas miarodajniejsze. Nie wiemy jednak, gdzie znajdowała się brama Gennat, od której się rozpoczynał. Zdaniem niektórych uczonych, brama ta stała między wieżami Hippikus a Fazael. W sumie wysunięto aż cztery propozycje dotyczące ewentualnego położenia i kierunku,

w którym ten (drugi mur mógł bieć, ale żadna z nich nie zyskała ostatecznej aprobaty uczonych.

Śledząc dalszy tok tych naszych rozważań, czytelnik powinien mieć przed oczami mapkę. Najkrótsza z proponowanych tras tego obronnego muru wiedzie na zachód od Antonii i skręca na południe, gdzie w pół drogi między Świątynią herodiańską a pałacem łączy się z pierwszym murem (AEFH). Jeśliby przyjąć tę propozycję, to istotnie kościół Świętego Grobu byłby poza tym murem. Na tej trasie widać co prawda ślady murów herodiańskich, ale ich przeznaczenie nie jest jasne, przy tym obszar, który otaczają, wydaje się bardzo mały i w każdym razie na zewnątrz muru zostaje mały pagórek, na którym stoi kościół Świętego Grobu. Trudno uwierzyć, by tego rodzaju rozmieszczenie miało służyć celom fortyfikacyjnym, dla których przecież przede wszystkim mur ten został wzniesiony. W razie wojny i oblężenia nieprzyjacieli, okupując to niewielkie wzgórze, znalazłby się w wybitnie korzystnej sytuacji.

Druga hipoteza przedstawia się w następujący sposób: mur biegnie wzdłuż tej samej linii aż do punktu leżącego dokładnie na południe od kościoła i stąd skręca na zachód. Trzeba przyjąć, że pod koniec trasy mur skręcał na południe i dochodził do pierwszego muru koło pałacu Heroda (AEFGP). Ten wariant zawiera jednak ten sam słaby punkt co i poprzednia hipoteza, to znaczy względ na obronność miasta i dlatego wielu uczonych go odrzuca.

Według trzeciej sugestii, mur skręcał już od Antonii na północ, a potem zataczał łuk w kierunku południowym, aż do pałacu Heroda. Przeciw tej hipotezie wysuwano pewne świadectwa wykazując, że ten mur już od Antonii biegł faktycznie w kierunku zachodnim, a nie północnym. A przy takim położeniu muru, kościół byłby nim objęty, czyli ta wersja odpowiadałaby tradycji, wedle której Kalwaria znajdowała się w obrębie murów (ABCDP).

Czwarta wreszcie hipoteza powiada, że drugi mur biegł na zachód od Antonii, dalej

zataczał półkole obejmując kościół Świętego Grobu, a dopiero później dochodził do pierwszego muru przy pałacu Heroda.

Jak widzimy, zdania są bardzo podzielone i każdy wariant ma swoich zwolenników, gdyż na wszystkich tych trasach widać ślady murów herodiańskich czy też innych starożytnych murów. Większość pisarzy katolickich, bez względu na to, czy idą za pierwszą, czy drugą hipotezą, stara się wykluczyć kościół z obszaru objętego tym murem. Zasadnicza trudność w przyjęciu tych hipotez polega na tym, że kierunek obronnego muru pozostawiałby wrogom ważny strategiczny punkt, jakim było wzgórze dominujące nad murem. Uczeni protestancy natomiast, którym nie zależy tak bardzo na utrzymaniu tradycyjnego położenia Kalwarii, byli raczej skłonni przyjąć trzecią lub czwartą hipotezę. Ta ostatnia ma zdaje się najwięcej zwolenników. Opowiadają się za nią i W. F. Albright, i G. E. Wright. Natomiast E. G. Kraeling w swoim Bible Atlas idzie za drugą hipotezą. Ostateczny wniosek, który nasuwa się w wyniku całej tej dyskusji prowadzi do stwierdzenia, że obecnie nie da się ostatecznie ustalić położenia Kalwarii.

Jeżeli z kolei zajmiemy się miejscem grobu, to wiemy tylko tyle, że był on blisko miejsca ukrzyżowania, gdyż Jan pisze: „A na miejscu, gdzie Jezusa ukrzyżowano, znajdował się ogród; w ogrodzie zaś nowy grobowiec, w którym nikogo jeszcze nie złożono” (Jan 19, 41).

Otóż ci, dla których kościół Świętego Grobu oznacza miejsce Kalwarii, pokazują ów grób w obrębie kościoła. Ale jest to równie wątpliwe jak sprawa identyfikacji samej Kalwarii.

W roku 1883 generał Gordon, widząc na północ od obecnego muru dziwaczne ukształtowanie skał przypominające ludzką czaszkę, wysunął hipotezę, która w swoim czasie była dość głośna. Przypuszczał on, że owo skaliste wzgórze jest Kalwaria, a jakiś grób, który znajdował się w pobliżu, uznał za ewangeliczny „grób w ogrodzie”. Bardziej wnikliwe badania archeologiczne wykazały jednak obecność na tym terenie jeszcze i innych grobów pochodzenia bizantyjskiego (V i VI wiek). Ponadto nie mamy żadnych przekonujących dowodów na to, że Kalwaria i grób Gordona są autentyczne. Grób przez niego wskazany może pochodzić nawet z III lub IV wieku po Chrystusie. Przypuszczamy, że wyjątkowo piękno tej okolicy łatwo może pobudzić wyobraźnię przypadkowego turysty. Ale w sprawach archeologicznych nie wolno nam powodować się sentymentem i nastrojem.

Starożytna część Jerozolimy kryje jeszcze — naszym zdaniem — wiele tajemnic, których odkrycie stanie się kiedyś udziałem archeologa i uczonego. Każdego badacza Nowego Testamentu wciąż prześladowuje myśl, że rozwiązanie problemów leży w głębi ziemi, tam gdzie wznosiło się starożytne Jerozolim. Możemy się jednak spodziewać, że z biegiem lat, gdy odbudowa części starożytnego miasta stanie się koniecznością, wiele cennego materiału wyjdzie na światło dzienne. Tymczasem trzeba nam być wdzięcznym i za te wiadomości, które już posiadamy.

J. A. THOMPSON



Pałac w Walewicach



W A L E W I C E

łych, pokrytych zielonym mchem. Z okien pałacowych rozpościera się piękny widok na rzekę i park teraz ośnieżony i smutny.

W którymś z pokoi spotykamy p. WOJCIECHA KOMOROWSKIEGO — zootechnika, opiekuna stadniny liczącej 112 sztuk. P. Komorowski z większym zainteresowaniem opowiada o koniach aniżeli o czytanej w „Świecie” opowieści o Walewskiej.

W stajniach rozmieszczono konie w zależności od wieku i przeznaczenia w oddzielnych hoksach. Są i konie sportowe, ujeżdżane przez miejscowych sportowców z założonego niedawno Klubu Jeździeckiego LZS. Majątek walewicki liczy prawie 2 000 ha gruntów. Składa się z 6 gospodarstw.

Może warto by pałac walewicki uatrakcyjnić i odremontować? Zebrać trochę mebli z epoki Księstwa Warszawskiego, parę obrazów może znalazłoby się także, jakieś pamiątki z tego okresu. Przecież z osobą pani Walewskiej łączy się część naszej długiej, burzliwej i ciekawej historii. Na pewno znaleźliby się chętni do odwiedzin uroczego pałacu. Można by tu także urządzać dom pracy twórczej lub hotel dla zagranicznych gości, którym na pewno nie jest obca „warszawska przygoda wielkiego Napoleona”. Nasi sąsiedzi potrafiliby to zrobić, czy my jesteśmy gorsi? Łatwo by stworzyć legendę o pałacu, w którym tuła się duch Napoleona, a ludzie z walutą na pewno zechcą obejrzeć to чудо. Bo duchów dziś mało na świecie.

JANUSZ CHODAK

→
fot. J. Chodak

Jedną z wielu rzeźb, którymi ozdobiono walewicki park.



To Marian Brandys zachęcił mnie do odwiedzenia tej miejscowości, publikując na łamach „Świata” opowieść o romansie Walewskiej z Napoleonem.

Walewice, położone w powiecie łowickim, przeszły dzięki swej uroczej właścicielce na trwałe do historii. Tu przecież w rozległych komnatach i pokojach pałacu walewickiego, rozlegał się śmiech a może płacz młodziutkiej Marii mężatki i żony starego — prawie zniedołężniałego — Walewskiego, stąd z zagubionego wśród lasów i pól pałacu wyruszyła na spotkanie z „małym Korsykaninem”, „tyranem Europy” i „wielkim Napoleonem”, by po latach powrócić na wieczny spoczynek, do niedalekiej od Walewic Kiernozi.

Walewice położone na uboczu mniej ściągają turystów niż powinny, może dlatego, że pałac można oglądać tylko z zewnątrz. Poza nim nic ciekawego tu nie ma. Miejscowi mieszkańcy nie zdradzają żadnego zainteresowania legendarną hrabiną. Często natomiast — i nie zawsze z sympatią — wspominają ostatnich właścicieli. Obecnie chwalą sobie pracę w walewskim Państwowym Gospodarstwie Rolnym. W śnieżnym krajobrazie, wielki pałac wygląda pusty i obumarły. Mieszczą się w nim biura PGR-u i Stadniny Koni Rasowych, a także mieszkania pracowników. W parku, nad małowniczo wijącą się rzeczką, kilka alegorycznych rzeźb, szernia-



O zabawkach

poważnie

— Mamusiu, gdzie jest mój czerwony, wyścigowy samochodzik?

— Nie zwracaj mi głowy, spytaj babcię!

Babcia potulnie szuka samochodu. Zagląda do wszystkich kątów. Wreszcie otwiera szafę z ruńcami i wydobywa stamtąd podniszczonego, rudego misia, konewkę, nadmuchiwaną zyrafę i podaje Witkowi. Samochodu nie ma.

Witek niegrzecznie kopie znalezione zabawki.

— Po co je wyciągasz? Nie potrzebuję ich. Chcę samochodzik. Czerwony. Wyścigowy.

Wszystkie zabawki zwalono na środek pokoju, ale samochodu wciąż nie widać. Nagle babcia wyciąga triumfalnie spod tapczanu czerwoną ciężarówkę.

— Masz swój samochód!

— To nie jest ten! Mówiłem przecież, że wyścigowy! W głosie małego brzmiały izy.

— Ten także jest dobry. Skąd mogę wiedzieć, gdzie podziewa się ten twój wyścigowy samochód. Daj mi już spokój — gniewa się babcia.

Witek płacze głośno. Brudnymi paluchami rozmazuje izy po twarzy. Wreszcie babci udaje się jednak odszukać upragniony samochodzik.

— Masz i przestań mazać się!

Ale Witek zapomniał już o zabawie, do której koniecznie potrzebował nieszczęsnego samochodu. Teraz trzyma go w ręku i cichutko szlocha.

Po co przytoczyliśmy tu tę historyjkę? Żeby jeszcze raz przypomnieć rodzicom o tym, że nie powinni ulegać dyktaturze dziecięcych kaprysów? Wprost przeciwnie! Pragnienie Witka, by bawić się właśnie tym jednym wymarzonego samochodzikiem nie jest kaprysem. To po prostu jakies wrażenie z otaczającego świata pobudziło wyobraźnię dziecka.

Świat zabawy jest drugim światem dziecka. W zabawie występuje ono jako główny bohater i wciela się w ulubione postacie znane z książek, telewizji, kina wreszcie życia. A gdy zbierze się kilkoro dzieci — możliwości zabawy rozszerzają się jeszcze bardziej. W gromadzie można sobie nawzajem pomagać, uzupełniać się wzajemnie. Dziś, na przykład, jak Polska długa i szeroka dzieci „odgrywają” przygody „Czterech pancernych”. Od kilkunastu lat każdej wiosny wszyscy warszawscy chłopcy, którzy jeszcze nie wyrosli z wieku „zabawowego”, ku utraپieniu przechodniów gonia nieprzypadkiem rowerami po chodnikach, jezdniach i w parkach, uczestnicząc na swój sposób w odbywającym się w tym czasie Wyścigu Pokoju. Widok splakanego malucha, który pedałując w zapamiętaniu na swoim trójkołowym wózikule goni uciekający peleton, nie należy do rzadkości. Spytajcie berbecia, kim jest, a na pewno wymieni nazwisko aktualnego zwycięzcy wyścigu lub przynajmniej jednego z najważniejszych etapów. W zabawie — wszystko jest możliwe. Można zostać panem doktorem, telewizyjnym Jackiem, strażakiem, kosmonautą, który właśnie wybiera się na Księżyc... A właściwie dobrana zabawka pooduza fantazję dziecka.

Trzeba jednak pamiętać, że nieustanna zmiana wrażeń nie jest korzystna. Dziecko nie ma czasu

przyzwyczaić się do zabawki, poznać jej możliwości, polubić ją. Dlatego też nową zabawkę można kupować dopiero wtedy, gdy jest to rzeczywiście potrzebne. Na przykład warto sprawić ulubionej lalce nową sukienkę, a może wózecek albo samochodzik. Jeżeli dziecko ma komplet klocków do budowania domu — można kupić ludziki, które w tej budowlu zamieszkażą.

Kupowanie zabawki jest sprawą poważną. Wbrew przekonaniu starszych, rodziców, dziadków, ciec i wujków nie każda zabawka sprawi dziecku radość. A jak zazwyczaj odbywają się takie zakupy? Jedni nie śpieszą się z podjęciem decyzji. Długo i uważnie lustrują upatrzone przedmioty na wystawie. Oglądają każdy szczegół zabawki, studiują instrukcję o sposobie uruchamiania jej i dopiero po dłuższym namyśle decydują się na kupno.

Inni — stoją niezdecydowanie przed ladą. Proszą o pokazanie lalki, potem nadmuchiwanego słonia, strażackiego wozu i dziesięciu innych przedmiotów, aby w końcu powrócić do lalki. A odchodząc oglądają się jeszcze przy drzwiach, jak gdyby w zamiarze zmiany zakupu.

Jeszcze inni śpieszą się.

— Chciałbym kupić jakąś zabawkę dla czteroletniej dziewczynki. Proszę coś ładnego! Ale może jakoś szybciotko, bo mi autobus ucieknie!

A bardzo często kupujemy naszym dzieciom cokolwiek, ot tak na odczepnego. Jakże często matka kupuje dzieckowi w kiosku „Ruchu” byle co, aby tylko zaspokoić zachciankę małego, ciesząc się, że czyni to tanim kosztem. Nic mylniejszego! Policzenie te drobne kwoty wydawane na brzydkie i nietrwale zabawki, a zbierze się wcale pokaźna sumka.

Niekiedy rodzice przychodzą do sklepu z pociechami i wówczas sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej, gdyż poglądy przedstawicielei dwu różnych generacji z reguły są odmiennie.

— Mamusi, kup mi tego kotka!

— Po co ci? Co będziesz z nim robiła? — oburza się matka.

— Będę wozić go wózeckiem — upiera się mała.

— To lepiej kupię ci lalkę, kotów nie wozisz wózekiem.

— A właśnie, że się wozisz! — córka nie daje za wygraną.

— Kupię ci wiaderko i łopatkę. Decyduje matka.

Spór kończy się łzami strony słabszej.

Która z nich ma rację? Jak winni postępować rodzice: ulegać życzeniom dziecka, czy też robić zakupy na własną rękę, decydując „odgórnie”, co dzieckowi w danej chwili jest najbardziej potrzebne? Nie ma na to recepty ustalonej raz na zawsze. Oczywiście dzieci, które ukończyły już szósty rok życia mogą same wiedzieć, czego im

brakuje do ulubionych zabaw, mogą mieć jasno sprecyzowany pogląd, do czego potrzebują takiej czy innej zabawki. Dzieci w tym wieku miewają już długo hołubione pragnienia posiadania jakiejś zabawki widzianej u kolegów lub na wystawie sklepowej. Jeżeli rodzice mogą pozwolić sobie na kupno tej zabawki, warto uwzględnić prośbę małego.

A czasem bywa tak: pewna pracująca jeszcze babcia, nieprzypadkiem rozkochana w swoim wnuczku przyrzeka mu kupić tyle zabawek, ile tylko mały potrafi unieść. Chłopiec, chociaż ponad miarę uradowany, przed ladą stracił głowę. Co wybrać? Ale przypomniał sobie warunek: tyle, ile sam uniesie. A więc przede wszystkim karabin! Można przewiesić go przez ramię i ręce zostaną wolne. Piłka w siatce — da się zaczepić za guzik od piasku. Później jeszcze duży samochód i statek transoceaniczny. Więcej drobne ręce nie udźwigną...

Po powrocie do domu chłopiec zostawił zakupy i pobiegł opowiedzieć matce, ile ciekawych rzeczy widział w sklepie. A nowe zabawki leżały zapomniane. W tym wypadku samodzielny wybór nie sprawił radości.

Może wydać się dziwne, ale jakże często najbliżsi — rodzice, dziadkowie, cienie nie znają swoich pociech, nie zdają sobie sprawy z ich marzeń, zresztą nie przywiązują do nich wagi. Gdyby było inaczej można by uniknąć takich bezsensownych zakupów (i wydatków!) jak, te o których była mowa wyżej.

Rzecz jasna dzieci najmłodsze nie wiedzą jeszcze czego chcą. Jakiś zupełnie nieistotny szczegół zabawki może przyciągnąć uwagę malucha. A gdy mu się tę zabawkę kupi dziecko nie wie, cóż z nią robić. W tym wypadku wybór bezspornie należy do rodziców.

Kupując zabawkę trzeba pamiętać o jej znaczeniu wychowawczym. Dzieci różnią się między sobą nie tylko wiekiem, lecz także usposobieniem, zainteresowaniami, poziomem rozwoju umysłowego, warunkami życia. Zabawki więc — podobnie jak książki, filmy, przedstawienia dziecięcego teatru, mają swoich adresatów — dzieci w określonym wieku, o określonych zainteresowaniach i zasobie „życiowych doświadczeń”. Dlatego właśnie kupując prezent, trzeba koniecznie znać hobby małego czlowieczka, wiedzieć w jakiej dziedzinie wyprzedza on swoich rówieśników, a w jakiej nie nadąża za nimi. Trzeba pamiętać o jego ulubionych bohaterach, wiedzieć czy interesuje go przyroda, czy też woli technikę, co mały wie o bliskich i dalekich krajach i miastach. Trafnie dobrana zabawka może stać się źródłem nowej wiedzy, bodźcem do pogłębiania dotychczasowych wiadomości. I jeszcze jedno. Być może „utrafienie w dziesiątkę” przy zakupie zabawki, spełnienie skrytych marzeń dziecka, przyczyni się do budowania trwałych więzów zaufania i przyjaźni między nim i starszymi? A więc pamiętajmy: kupno zabawki jest sprawą bardzo ważną, której nie należy lekceważyć.

CHEMICZNA SPÓŁDZIELNIA PRACY

technochemia

WARSZAWA, ul. ŻURAWIA 26

telefony: 28-55-97; 21-51-76



NAJLEPSZA
GUMA
DO
WYCIERANIA

PRODUKUJE I POLECA:

- ◆ rękawice chirurgiczne oraz gospodarcze
- ◆ gumy ścierne „Myszka” w kilkudziesięciu asortymentach — najlepszej jakości
- ◆ aparaty do wlewań kroplowych krwi konserwowanej
- ◆ aparaty do wlewań podskórnych
- ◆ inhalatory

ŚLADAMI ZGUBIONEJ PARASOLKI

czyli

2.400 DOWODÓW LUDZKIEGO ROZTARGNIENIA

○ d czterech lat megafony dworca Warszawa Główna, witając przybywających pasażerów, przypominają roztargnionym o ...policzeniu bagaży, aby nie zostawili czegoś przypadkiem w przedziale. I z roku na rok ilość przedmiotów znalezionych przez personel PKP zmniejsza się wprawdzie, ale w roku 1967 wyniosła jeszcze w dniu 15 grudnia — 2400 sztuk, zgromadzonych w Okręgowym Biurze Likwidacji przy dworcu Warszawa Wileńska.

Z czego składa się ta liczba? W pierwszym rzędzie z drobiazgów, pozostawionych w pociągach, dalej — przedmiotów większych a nieodebranych z przechowalni, wreszcie z przesyłek bagażowych, nawet ekspresowych, których właściciele (odbiorcy, a niekiedy i nadawcy) straciwszy np. kwity, nie usiłowali dochodzić swojej zguby. Stosunkowo najmniej jest przesyłek, do których nikt się nie chce przyznać, choć i nadawca i odbiorca zostali zawiadomieni o nadejściu.

Tak więc parasolka, pozostawiona w przedziale przez roztargnioną panią, o ile nie zauważy jej jakiś nieuczciwy człowiek, który ją sobie przywłaszczy — pokutuje najpierw na docelowej stacji pociągu, którym przyjechała. Tam też najłatwiej ją odebrać: wystarczy udowodnić, że się jest właścicielką tej parasolki:

— Zostawiłam ją w przedziale II klasy pociągu z Gdyni dnia 30 sierpnia... Parasolka piaskowego koloru z plastikową rączką...

Tyle przecież każdy może spamiętać, a w pociągu z Gdyni 30 sierpnia (mimo iż to dzień wybitnie „szczytowy”) nie mogło być dwóch identycznych parasolek zapomnianych. Lecz zdarza się, że roztargniona osoba nie pamięta gdzie i kiedy zgubiła tę parasolkę. A może przy kasie biletowej w Gdyni? A może w taksówce, którą wracała z dworca głównego do domu? I nie poszukuje tej parasolki, przekonana, że już jej nie odzyska.

Po 30 dniach oczekiwania parasolka, opatrzona dokumentem, stwierdzającym jej pochodzenie, wędruje do okręgowego składu likwidacyjnego przy dworcu Warszawa-Wileńska, gdzie jeszcze leży dość długo, bo aż do okresowej likwidacji, która może przypaść i po pół roku.

Na takiej właśnie okresowej likwidacji znaleźliśmy się w owym składzie likwidacyjnym, gdzie na regałach leżały rzędy znalezionych rzeczy. Czegoż tu nie ma?

A więc przede wszystkim — parasolki. Tych jest przynajmniej jedna.

Świadczy to dobitnie, że pleć piękna w roztargnieniu wyraźnie przoduje. Druga pozycja pod względem liczebności — to teczki męskie, trzecia walizki, a dalej — wszystkiego po trochu: kilka par nart, łyżew, kilka namiotów, aparaty fotograficzne tańszych typów, paczka książek „Czytanki polskie dla klasy II-ej“ (tak poszukiwane na rynku księgarskim!), paczka tortownic dla otwockiego PZGS-u, (na które zapewne czekają tamtejsze gospodynie) i szereg różnych przedmiotów jeden od drugiego dziwniejszy. A prawie każdy zmusza nas do postawienia pytania:

— Jak można było czegoś podobnego zapomnieć? Jak można było zostawić w pociągu czy nie odebrać z przechowalni pary drogich, nowoczesnych plastikowych nart? Albo dwóch ogromnych waliz, pustych wprawdzie, lecz solidnych?

Niektóre z tych przedmiotów mają swoją dość skomplikowaną historię: oto maszyna do szycia, 132 pędzle malarskie, kauczuk syntetyczny — wszystko odebrane złodziejom, którzy w początku zeszłego roku włamali się do wagonu z tzw. drobnicą. Zabezpieczone przez MO jako tak zwane dowody rzeczowe nie mogą doczekać się na jakąś decyzję wymiaru sprawiedliwości: złodzieje po wyroku już siedzą w więzieniu, ale maszyna rdzewieje w składzie likwidacyjnym, gdzie nikt przecież nie jest obowiązany do konserwacji, kauczuk parcieje na bezwartościowy szmelc, bo sąd nie może wydać rzeczy, za które nikt nie chce pokryć kosztów kancelaryjnych i składowania, choć ogólna wartość tych artykułów przekracza 16.000 złotych. Podobnie przedstawia się sprawa przesyłki książkowej: nikt nie chce pokryć niewielkich kosztów aby nieszczęsne książki dostały się do rąk dzieci, które na nie czekają.

Poza tym 13 przedmiotów różnych zatrzymała do swej dyspozycji MO. Gdzieś w Bydgoszczy złapano złodziejkę, która miała przy sobie cudzy portfel męski, a w nim kwit na walizkę z przechowalni bagażowej w Warszawie. MO prowadzi dochodzenie, aby ustalić kogo złodziejka okradła, kto jest właścicielem owej walizki, co jeszcze padło ofiarą złodziejki itp.

Ale główna masa zapomnianych i nieodebranych przedmiotów „idzie pod młotek”. Przez kilka dni pan Marian Rasiński, kierownik składu i biura likwidacyjnego ogłasza np.:

— Walizka w dobrym stanie, 2 bluzeczki, ręcznik, fartuch, piżama, spódniczka, cztery chusteczki... pięćdziesiąt złotych.

— Pięćdziesiąt jeden! — deklaruje ostrożnie jeden z licytantów, oglądając spódniczkę pod światło.

— Pięćdziesiąt jeden po raz pierwszy...

— Pięćdziesiąt pięć... — dorzuca drugi licytant.

— Pięćdziesiąt pięć po raz pierwszy, pięćdziesiąt pięć po raz drugi...

Wreszcie po jakichś siedemdziesięciu złotych pada sakramentalne „po raz trzeci” — puknięcie młotkiem i licytant zgarnia z powrotem do walizki wszystkie „ciuchy”, które zdążył już dokładnie przepatrzyć.

Teraz pani Krystyna Cieszkowska i pani Danuta Krzyśiak wypełniają obszerny formularz, wpisują imię, nazwisko i numer dowodu osobistego nabywcy, przyjmują pieniądze, wypisują na nie kwit po czym — walizka zmienia właściciela.

Kto kupuje? Kim są na ogół licytanci? W znikomym procencie kolejarze, jeszcze mniej kolejarzskich emerytów, a najmniej takich, którzy tu przychodzą „na upatrzonego”. Oto np. dwóch młodych ludzi nie licytuje niczego, czekając tylko na ...namiot. Przy licytowaniu tego namiotu rozgrywa się charakterystyczna scena; jeden z „rekinów” licytacyjnych też się zawzina na ów namiot, choć ani cena ani sam obiekt nie są bardzo atrakcyjne.

— Daj pan spokój! — mitygują go inni. — Daj pan młodzieńcom kupić ten namiot! Co pan na nim zarobi?

Ale „rekin” licytuje uparcie i ustępuje dopiero wtedy, gdy zaczyna się orientować, że nawet sto za sto na nim nie zarobi.

Reszta licytantów, a właściwie największa ich ilość, to zawodowi handlarze z bazaru Różyckiego czy ze Skaryszewskiej, którzy na licytację przychodzą z „harmonią” pieniędzy i wykupują wszystko „jak leci”. Potem bierze się taksówkę, zawozi wszystko na Skaryszewską i sztuka po sztuce sprzedaje się, uzyskując co najmniej 500 proc. sumy zakupu.

Licytacja ciągnie się kilka dni, po czym zmarznięty personel składu wraca do swego boksu, gdzie jest trochę cieplej i głowi się nadal nad napływającymi dowodami ludzkiego roztargnienia.

JADWIGA PIECHOCKA



Otulona ciemnym płaszczem, zdążyła zaułkami ku bramie Flamińskiej, a gdy wydołała się za miasto, skręciła na lewo na drogę wiodącą w stronę Tybru. Nie była sama. Ze wszystkich stron ukazywały się gromadki ludzi ciągnące w tym samym kierunku.

Okolica podmiejska stawała się coraz bardziej pusta i uboga. Tu i ówdzie tylko błyszczało spóźnione światło w jakimś ogrodzie. Z dala dochodził szum rzeki, zlewając się z ciszą nocną.

Mucja szła przeszło godzinę, kiedy niewolnik idący przodem z pochodnią zatrzymał się przed jakąś bramą i stuknął w nią trzy razy. Ktoś odsunął okienko i rzekł coś półgłosem. Niewolnik zrobił na ustach znak krzyża, odpowiedział kilka słów szeptem, po czym brama otworzyła się.

Mucja znalazła się w obszernym ogrodzie, gdzie na tle ciemnej nocy rysowały się ciemniejsze od niej kontury ogromnej szopy. Stłumiony śpiew wielu głosów wydobywał się na zewnątrz, otaczając budynek brzękiem tajemniczym. Nasunąwszy kaptur płaszcza na głowę weszła Mucja za niewolnikiem do szopy i stanęła pod ścianą w pobliżu drzwi. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Kilku ludzi klęczało i śpiewało pieśń nieznaną pogańce.

Pierwszym wrażeniem, jakie Mucja odniosła na zebraniu chrześcijan, było nieprzyjemne zdziwienie. Rzymianka przywykła do marmurowych świątyń, ozdobionych złotymi posągami bogów, do wspaniałych kolumnad, obwieszonych bogatymi wotami i wieńcami, i do wytwornych kapłanów, czuła się obca w szopie drewnianej bez filarów, mozaiki i sztukaterii. Samo otoczenie Jowisza kapitolijnskiego i innych mieszkańców Olimpu działało na zmysły pobudzając do rozmyślenia, a tu w świątyni chrześcijańskiej, spoglądały na nią łagie, brudne ściany, oświetlone złotym płomieniem kilku lamp olejnych.



Przez otwarte drzwi wchodziły ciągle nowe postacie mężczyzn i kobiet, starców i dzieci. Mucję mijali prawie sami nędzarze — rzemieślnicy, niewolnicy, żołnierze, żołnierze niższych stopni, gladiatorowie, przekupnie — same twarze smutne, uginające się pod brzemieniem życia. Ubóstwo, łachmany, rozpacz, głód, nieszczęście, wszelaka niedola napędliały szopę, padając na kolana przed bogiem zakazanym przez imperatora i senat.

Widok motłochu nie usposabiał Mucji zyczliwie do przesądu wschodniego. Wszakże była patrycjuszką, którą obyczaj wielu wieków bronił przed zetknięciem z nędzą wyznaczając jej w teatrach, w cyrku, w świątyni nawet miejsce osobne, aby swej białej sukni nie wałała o brud ubóstwa. Ja, Kornelię, odgraniczał mur przywilejów spotecznych i towarzyskich od szarego tłumu, który istniał po to tylko, by jej służył. Jeżeli się do niego zbliżała litując się nad poniewierką wydziedziczonych, to widziała, iż wyświadcza łaskę, za którą należały być wdzięcznym.

A tu, w świątyni chrześcijańskiej, otaczały ją zewsząd istoty, które by się nie odważyły do niej w żadnym innym miejscu zbliżyć, ocierały się o nią, potraçały ją, tłoczyły się wokół niej przyciskając ją do ściany.

Mucja nie miała pogardliwej dumy Tulii. Wychowana przez greckiego stoika, godziła się z łagodnymi rządami Marka Aureliusza, który opiekował się nawet niewolnikami. I ona nie znęcała się nad służbą, nie karała nigdy okrutnie, chętniej pobłażliwa niż sprawiedliwa, ale była to dobroć prawego serca, które nie znosi krzywdy słabego. O tym żeby niewolnik zrodzony w kajdanach był

jej równy, nie pomyślała nigdy córka konsułów, pretorów i trybunów. Jej, patrycjuszce, przyszło być łaskawą, łaska jednak a obowiązek to dwie różne rzeczy.

Nie po to, by obrazić oczy widokiem nędzy, przyszła Mucja na zebranie chrześcijan. Pozbawiona wiary w religię urzędową, chciała się przypatrzeć z bliska owemu nowemu bogu, o którym słyszała tyle opowieści sprzecznych. Filozofowie drwili z „zabobonu wschodniego”, władza ściugała go bez miłosierdzia nie szczędząc wyszukanych męczarni, motłoch posądzał go o wszystkie nieszczęścia, które spadały na Rzym, a wyznawcy czerpali z niego pogardę prześladowań i śmierci. Mucja widziała sama, jak w amfiteatrze niewiasty szły bez obawy pod pazury i paszcze dzikich bestii. Starcy kazali na krzyżu bez jęku, dzieci poddawały się z uśmiechem na ustach okrutnym katyżom.

Potężny musi być bóg, który stwarza bohaterów i pokonywa instynkt samozachowawczy. Rozumiała to bardzo dobrze Rzymianka, spadkobierczyni walecznych czynów, zapalów i poświęceń całego szeregu pokoleń. Ten ścigany, oplwany, a mimo to tak czczony Bóg pociągał duszę patrycjuszki, dla której dumne myśli i gwałtowne uczucia nie były rzeczą obcą.

Zaden z bogów Olimpu, chociaż mieszkali w złotych pałacach i przyjmowali ofiary z tysięcy ołtarzy rozrzuconych po całym imperium, nie budził tak namiętnej miłości. Nie tylko nie oddawano za nich życia i mienia, lecz zaniebawiano nawet ich świątynie, które świeciły w dni uroczyste pustkami mimo skarg i nawoływań kapłanów.

Tylko Rzym rządzący z imperatorem Markiem Aureliuszem na czele brał zwykle udział w obrzędach. Ale Mucja wiedziała, że purpuraci nie stawali przed obliczem Jowisza, Marsów, Dian i Wener z wiarą w sercu i pobożną modlitwą na ustach. Czili oni zewnętrznie nie bogów, lecz tradycję, którym stolica świąta zawdzięczała swoją wielkość, przekonani, że bez tej podstawy runie gmach zbudowany przez cnoty wieków. Religia już tylko polityczna była dla Rzymian oświeconych wiarą praocjów.

Inaczej bóg chrześcijan. Za niego znosili męczarnie tak okrutne, iż drobna ich część przecierpiana w służbie Rzymu wystarczałaby do rozślawienia imienia bohatera. Cały świat wysławiał dotąd nazwisko Mucjusza Scewoła za to, że oddał jedną rękę ogniovi; a chrześcijanie ginęli w płomieniach chociaż ich od tak strasznej ofiary mogło odwołanie zabobonu uwolnić.

Tkwiała więc w tym wzgardzonym „przesądzie” siła potężniejsza od życia i jego darów? Więc to, co chrześcijanie zyskiwali przez śmierć, było lepsze od tego, co tracili?

Gdzież on, ten dziwny bóg? Gdzie jego wyobrażenie?



Na drugim końcu szopy, w głębi, spostrzegła Mucja zwykły stół, a na nim w otoczeniu kilku świec woskowych — czarny krucyfiks. Nic więcej... Ubogi był chrześcijanin, jak jego świątynia i wyznawcy. Słusznie drwili filozofowie, iż narodził się wyłącznie dla nędzarzy.

Ale nie... Oko Mucji błędąc nad tłumem zatrzymało się nagle zdziwione. Wszakże to Metella, patrycjuszka jak ona, jedna z wielu matron rzymskich dawnego obyczaju, wierna małżonka, wzorowa matka, hojna pani. A tam, w pobliżu ołtarza klęczała Domicylla ze stanu rycerskiego obok starego Hortensjusza, który piastował kilka lat temu godność konsula. I Rufiusz, trybun legionów, i propretor Flaminiusz modlili się razem z niewolnikami.

Rozglądając się uważniej policzyła Mucja kilkadziesiąt osób zajmujących stanowiska wybitne. Wojskowi i świeccy dygnitarze ginęli w tłumie nie usuwając się od nędzy. Nawet uczeni korzyli się przed wzgardzonym bogiem, bo oto wchodził właśnie do szopy Mincjusz Feliks, głośny adwokat i retor, znakomity stylista, znany Mucji z dzieł polemicznych i z mów wygłaszanych na rynku.

I on? Wszyscy prawnicy wyrażali się z uznaniem o jego wiedzy i zdolnościach.

Więc bóg chrześcijan nie jest tylko przesądem ubogich i ciemnych? Obecność osób z jej towarzystwa usposobiła Mucję lepiej do zebrania chrześcijan. Gdzie była Metella i Domicylla, niewiasty szanowane powszechnie, tam mogła się i ona znajdować.

Ciekawie zaczęła się teraz przypatrywać nabożeństwu.

Słyszała nieraz, czytała nawet w pismach Frontona, że chrześcijanie czczą głowę osła, zbierają się zaś dlatego w miejscach odludnych i w godzinach nocnych, by ukryć zmysłowe wyuzdanie przed czujnym okiem straży pilnującej moralności publicznej.

Głowy osła nie dostrzegła nigdzie, a zamiast rozpustników widziała pobożnych, modlących się na kolanach. Śpiewali jakiś hymn, którego poważna melodia przypominała jej pieśni pogrzebowe. Łzami śpiewali, smutkiem skarg...



W głębi szopy, przed ubogim ołtarzem, stał wysoki starzec w białej sukni, rozkładając ramiona i pochylał się nad krucyfiksem. Spełniał zapewne ofiarę chrześcijańską.

Wszystko, co Mucja dotąd widziała, nie tłumaczyło jej potęgi nieznanego boga i miłości jego wyznawców. Było to zebranie gromady ludzi różnych stanów złączonych jakąś wspólną wiarą. Ale jaką?

Oczy wychowanki filozofii greckiej zaczęły szukać odpowiedzi na pytanie, które ją zajmowało, na twarzach chrześcijan. Czegoż oni chcą od swojego boga?

Obok niej klęczało kilku niewolników bogatszych domów. Świadczyły o tym tuniki ozdobione haftami. Jeden z nich, oparłszy głowę o ścianę, patrzył przed siebie nie biorąc udziału w śpiewie. Przykucał w kącie, skulony, zmięty, jakby się chciał wcisnąć pod ziemię. W jego oczach i naokoło ust było tyle bólesci, że starczyła za najgorętszą modlitwę. Każdy rys tej twarzy zmęczonej, zwiędłej mimo młodości plakał krwawymi łzami.

Po raz drugi w życiu widziała Mucja taką niemą rozpacz. Przypomniała sobie wzrok skatowanej Mimut, walającej się pod murem ogrodu i zrozumiała, czego ten niewolnik chciał od boga chrześcijan. Zanosił on do niego nędzę swoją i błagał go o zmiłowanie.

Patrycjuszka odzywająca się do służby tylko wtedy, kiedy tego potrzeba wymagała, zastanawiała się rzadko nad duszą niewolników. Żywe sprzęty ukrywały zresztą przed nią zarówno radości, jak cierpienia, ruszając się obok niej automatycznie, układając dla niej twarz w maskę tępego postuśnięcia.

SŁOŃCE

Tu, w świątyni chrześcijan, wobec boga nędzarzy, nie kłamały oczy i usta niewolników; tu wyzierala z tych oczu dusza ludzka, z tych ust płynęła skarga ludzka. Gdziekolwiek Mucja spojrzala, wszędzie dostrzegala oblicze człowieka, które myślało, cierpiało, kochało.

I było jej, jakby ją nagły blask oświecił. Jej prawie serce ulitowało się nad milionami istot, którym okrucieństwo zwycięzców odjęło swobodę myśli, uczuć i czynów. Cichy jęk wszystkich wydziedziczonych rzymskiego świata uderzył w jej duszę szlachetną i znalazł w niej oddźwięk pokrewny.

Spojrzala w stronę krzyża... On, ten ubogi bóg podniósł rękę błogostawiając nad wszelkim cierpieniem, nauczył nieszczęśliwych pogardy dóbr i rozkoszy ziemskich, poniżył pychę, a podwyższył rozpacz, otworzył dla nędzarzy życie inne... i za to zamordowali go moiżni i bogaci, a prześladowają samolubni.

Patrycjuszka nie dziwiła się już wydziedziczonym, że miłowali swojego boga nad to nędzne istnienie, które nie dawało im nic oprócz poniewierki.

Ale oni, Metella, Domicylla, Hortensjusz, Rufjusz i inni, należący do warstw rządzących — za co dziękują oni bogu chrześcijan? Daleko wygodniejsi są dla nich mieszkańcy Olimpu, pobłażliwi sędziowie słabości ludzkich, którymi się sami plamia.



Wszopie zaległa cisza. Kapłan dokonawszy ofiary odstąpił od ołtarza, a miejsce jego zajął Minucjusz Feliks. Słynny retor średniego wzrostu mąż, spalony słońcem Afryki, które oświecało jego kolyskę, stał zawinięty w togę, zwrócony twarzą do zebranych i czekał na zupełny spokój. Kiedy ostatnie szepty zamilkły, zrobił w powietrzu znak krzyża i odezwał się głosem donośnym:

— Ukochani bracia i siostry w Chrystusie!

Znów czekał; potem zaczął:

— Wiadomo wam, że nasi wrogowie obarczają nas wszystkimi kłóskami, które spadają na Rzym. My odpowiadamy za niepomysłną wojnę, za pożary, zaraźliwe choroby, za nieurodzaj, suszę i powodzie. Ponieważ tego roku nie tylko Italia, ale i żyzny Egipt odmówił obfitego ziarna, przeto grozi Rzymowi głód, gdy zaś panowie świata cierpią, wówczas szukają winowajców między niewinnymi. Mówię wam to, abyście się przygotowali na nowe prześladowania, które nas prawdopodobnie nie ominą. Radzę wam nie szukać rozmyślnie męczeństwa, już bowiem dosyć krwi naszej splamilo sumienie Rzymu. Nie oddawajcie się sami w ręce pretorów, nie drażnijcie nienawiści wrogów obelgami miotanymi na ich bożyszcza, nie szukajcie śmierci własnowolnie, ale kogo Bóg wybierze do palmy męczeńskiej, ten niech się w godzinie ostatniej modli gorąco, by mu Pan Panów dał moc do zniesienia złości tego świata. Kto by zaś z was nie czuł sily do wytrzymania tortur, ten niech się schroni do grobów podziemnych lub uchodzi w góry.

Zamilkł rozglądając się wokoło płomiennym okiem Afrykańczyka. I Mucja spojrzala na swoje najbliższe otoczenie szukając na

twarzach chrześcijan wrazenia jego smutnej zapowiedzi. Zdawało jej się, że słowa retora powinny wywołać okrzyk trwogi, że poruszony tłum zagrożony prześladowaniem.

Ani jedna ręka nie podniosła się do góry z groźbą, ani jeńcze usta nie zbladły. Chrześcijanie słuchali żalobnej wiadomości ze spokojem ludzi przywykłych do nieszczęścia. Zamiast przestrachu dostrzegła Mucja na wielu ustach uśmiech lekceważący. Ci ludzie gardzili śmiercią jak jej przodkowie, ginący bez skargi na chwałę Rzymu.

Coraz bardziej zbliżało się serce patrycjuszki do wzgardzonych sekciarzy. Zaczynala ich podziwiać i szanować.

— Kogo Pan Panów wybierze do palmy męczeńskiej — mówił Minucjusz Feliks dalej — temu niech w chwili okrutnej próby będzie pociechą świadomość nicości tej ziemi. Nie nas, dzieci jednego sprawiedliwego dobrego Boga, tworzy śmierć, straszna tylko dla tych, którzy łączą wszystkie nadzieje z życiem i jego rozkoszami. Czemże bo dla nas życie? Przelotną wędrówką, znikomą chwilą w bezmiarach wieczności, nędzną walką o zaspokojenie potrzeb i chuci ciała. Z cudzej krzywdy, z grzechu rodzi się wszystko to, za czym się ludzie na ziemi ubiegają. Krew zwyciężonych sączy się z purpury zwycięzców, łzy wyzyskanych łsnij na milionach bogaczy, przekleństwa sponiewieranych mnożą się nad zaszczytami pysznych. W błocie tarza się rozkosz doczesna, niesprawiedliwość podaje rękę sile, głupstwo rozumowi.

— Nasi prześladowcy rzucają nam w twarz obojętność dla spraw państwa. Ale czymże dla nas dobro Rzymu, na którego wielkość złożyło się nieszczęście licznych narodów? Nasz Bóg, ojciec i opiekun całego stworzenia, miłosierny dla wszystkich, litujący się nad słabym i ubogim nie uznaje różnicy między zwycięzcą i zwyciężonym, wolnym a niewolnym, nie sprzyja okrucieństwu wojny, wiarołomstwu mocnych, pysze bogatych: nasz Pan nie korzy się przed zaszczytami i dostatkami tej ziemi wynagradzając tylko dobroć i miłosierdzie. Jakże możemy sprzyjać Rzymowi, którego potęga wyrosła z gwałtu i samolubstwa? Rzeczą przemijającą jest dla nas wszelki blask doczesny...

— Żądają od nas, abyśmy składali ofiary ich bogom i uwielbiali ich mędrców! Ależ oni sami drwią z tych bogów w teatrach i w księgach, a mędrzy ich pożerają się nawzajem językami, każdy z nich bowiem uczy czego innego. Jakże chcą, abyśmy szanowali bogów, którzy przestali być dla nich straszni? Modląc się w świątyniach kłamią, zwracając się do swoich kapłanów nie wierzą: rosząc ołtarze krwią zwierząt uśmiechają się szydersko. Nędzni obłudnicy, nie mający odwagi do zburzenia świątyni, które przestały być dla nich domami bogów, mordują nas za to, że nie chcemy kłamać jak oni.

Mucja, która słuchała dotąd z głową pochyloną spojrzala teraz na Minucjusza Feliksa. Jego ostatni argument wdarł się do jej duszy promieniami jasnego światła. W istocie... Za co tych ludzi prześladowają?... To oni, obrońcy Olimpu, winni są kary, dopuszczają się bowiem bezprawia w imieniu bogów, których nie uznają.

A Minucjusz Feliks mówił dalej:

— Drwią z nas, że modlimy się do Boga, którego zazdrość kapłanów żydowskich przybiła do drzewa hańbiącego. Ale kiedyż spotykała się nowa prawda z życziwością tych, którzy zawdzięczali starej władze bogactwa? Wszelkie słowo, wszelki czyn brzemienny przyszłością budził zawsze nieufność i rozkietnywał samolubne namiętności. Zbyt nędznym i słabym stworzeniem jest człowiek, żeby mógł zrozumieć od razu głos Opatrzności i pójść za jego wskazówkami. Śladami rozwoju ludzkości płynie krew proroków, bohaterów i mędrców przelana przez nienawiść podłych i głupich. I nasz Bóg, chociaż wzgardzony, bo przyniósł światu nową prawdę, przystępna tylko dla najlepszych i najniezszczęśliwszych chwili obecnej, zapamięta kiedyś jawnie, uznany i czczony powstanie, do nas bowiem należy przyszłość. Kapłani grecko-rzymskich bogów i filozofowie podają nas na posmiewisko oświeco-

nych, a podburzają przeciw nam motłoch, ale niech przyjdą do nas i porównają naszą prawdę żywą ze swoją martwą nauką. Ich bogowie cudzołożą, kłamią, kradną, czynią nieprawości jak najgorsi spomiędzy ludzi; nasz Bóg karze wszelką złość, a wynagradza tylko uczciwość, czystość, dobroć i miłosierdzie; ich mędrzy uczą rozpusty, szyderskiego uśmiechu albo smutnej obojętności, biernego poddania się nieuchronnej konieczności, odbierającej śmiertelnikowi wszelką nadzieję; nasi mistrzowie zalecają skromność, umiarkowanie, wstrzeźliwość i pocieszają nieszczęśliwego chwałą Królestwa Niebieskiego. Bo jest świat inny, lepszy, bo nie może być, żeby myśl i uczucia ginęły razem z ciałem, ich narzędziem znikomym, bo nie było nigdy prawda, żeby życie gasło na zawsze z chwilą śmierci. Przeczucie całej przeszłości potwierdza naszą wiarę, bez której pobyt człowieka na ziemi byłby okrutną zabawką złośliwych demonów. Przeto niech was nienawisć naszych prześladowców nie straszy i nie odwodzi od nauki prawdziwej. Męczarnie ciała wynagrodzi wam Bóg sprawiedliwy szczęściem duszy, światłością wiekulistą.

Skończył...

Z kilkuset piersi wy płynęło stłumione: Amen.

Wtem odezwały się na dworze szybkie, ciężkie kroki. Ten sam niewolnik, co otwierał Mucji bramę, wpadł do szopy i zbliżywszy się do Mincjusza Feliksa szeptał mu coś do ucha.

Retor podniósł rękę i zawołał:

— Pacholkuwie prefekta miasta zbliżają się do naszego schroniska! Ktoś nas zdradził! Rozejdźcie się niezwłocznie tylną furtką i ukryjcie się w ogrodach. Nie szukajcie dobrowolnego męczeństwa!

Wolno, jakby im nie groziło żadne niebezpieczeństwo, podnieśli się chrześcijanie i opuszczali szopę w porządku, prowadzeni przez Mincjusza Feliksa. Dopiero na dworze rozsypali się i znikli w ciemnościach nocy.



Kiedy Mucja, otoczona swoją służbą wydoszła się za mur, rozległ się głuchy łoskot. Pacholkuwie miasta stukali do bramy.

— Otwórzcie w imieniu boskiego imperatora! — wołał głos donośny.

— Nie możemy wracać bramą Flamińską, pani — odezwał się jeden z gladiatorów Mucji.

— Lekasz się? — zapytała Mucja.

— Nie o siebie, pani. Zoldactwo mogłoby ciebie znieważać. Łoskot powtórzył się... mocniejszy. Pacholkuwie wyważyli bramę. Gladiator wziął Mucję na ręce i pobiegł z nią nad rzekę.

Na drodze zamigotały światła, rozległy się nowotykania, szcęk broni. Pacholkuwie przekonawszy się, że szopa pusta, przetrzasnęli ogrody i zarosła.

Gladiator pędził brzegiem Tybru potykając się o kamienie. Kroki jego przyspieszała wrzawa zbliżająca się w stronę rzeki. Przeważliwy krzyk mienawisci rozdarł ciszę nocną. Żołnierze ujęli jakąś chrześcijankę. Gladiator odwrócił się w biegu i nakreślił w powietrzu znak krzyża.

— Niech ci Bóg da śmierć mężną — mruknął.

— Ona umrze? — zapytała Mucja?

— Tylko dla tego świata, pani — odpowiedział gladiator.

— Za co oni ich mordują? — burzało się prawie serce Mucji.

T. JESKE-CHOIŃSKI



NASZA RODZINKA

Z KURKIEM WIELKANOCNYM

Było już świąteczne popołudnie, gdy pod Boknem Marciniaków mignęły jakieś cienie.

— Idą! — wrzasnęła Jagusia i ciekawie przycisnęła nos do szyby. W tej właśnie chwili za oknem rozległy się słowa starej, ludowej pieśni:

A my z kurkiem rano wstali,
pierwszą rosę otrząsali.
Nasz kureczek rano pieje:
Wstańcie, panny, do kądzieli,
a wy, matki, jeszcze śpijcie,
bo się przez dzień narobicie...

— Uciekajmy, bo się bez dyngusa nie obejdzie — przypomniała nagle najstarsza córka Marciniaków, Helenka. Teraz dopiero Jagusia odskoczyła od okna i prawie ze łzami w oczach spytała:

— Ale gdzie?

Helenka bezradnie wzruszyła ramionami, Basia, koleżanka Helenki, też się nie odezwała. Wszystkie trzy straciły głowy, gdyż przed drzewami stała gromadka chłopców z wielkanocnym kurkiem i ukrytą wodą...

— Dyngus to nic straszne — odezwał się trochę drwiąco stary Marciniak.

— Toć prawda, toć prawda — przytaknęła Marciniakowa...

Śpiew na chwilę umilkł.

— Odprawcie ich, mamó — prosiły córki. Marciniakowa podeszła do szafy, żeby wydobyć jakiś poczęstunek, gdy nagle rozległy się za drzwiami donośne słowa,

Lato idzie, zima schodzi
Nasz kureczek bosy chodzi.
A złóście się po groszowi,
kupcie butki kureczkowi.
Byliśmy u młynarza,
dał nam chleba kram.
Dajcie i wy nam...

— Dajcie, mamó, niech sobie idą — prosiły dalej córki.

Marciniakowa bez pośpiechu otworzyła drzwi i spokojnie odezwała się do chłopców, którzy już byli w sieni.

— Macie tu jajka, tylko z wodą od izaru z daleka.

— Dziękujemy, pani Marciniakowo, dziękujemy. Gdzie tam nam dyngus w głowie.

— Ale kureczek piękny — pochwaliła gospodyni. — Piękny. Piórka jak żywe...

— Ano, udał się...

Dziewczęta nie wytrzymały. Palila je wielka ciekawość, jak też ten wielkanocny kurek wygląda. Pierwsza podeszła Jagusia. Trochę nieufnie spoglądała na chłopców.

— Chodź bliżej — zachęcali dobroduszenie. Jagusia przysunęła się do drzwi. Za nią Helenka i Basia...

— Tylko bez wody! — przypomniała Marciniakowa.

— Nie w głowie nam — odpowiedzieli ze śmiechem chłopcy i zaczęli wychodzić. Już na dworze któryś zapiał tak pięknie, że i prawdziwy kogut lepiej nie potrafi.

Ośmielone tym dziewczęta wyszły na dwór.

Chłopcy z kurkiem stali już za płotem — i poprawiali kolorowe wstążki, które poplątały się trochę na wietrze.

— Ładny — szepnęła Jagusia.

— Piękny — prawie głośno powiedziała Helenka i podeszła do furtki, żeby lepiej zobaczyć.

Chłopcy już poprawili wstążki, ale zwlekali z odejściem.

— Zobaczcie z bliska — zachęcali.

Dziewczęta jednak nie miały ochoty wychodzić na drogę...

— Mamy was — wrzasnął ktoś nagle tuż za ich plecami i spostrzegły teraz, że nie mają odurrotu do domu. Tuż za nimi stał Franek Zawada i Zygmunt Filipiak.

— Dawać wodę, przecież to dyngus dzisiaj — darli się co sił.

Teraz dopiero wyskoczył ukryty za szopą Tadek Michalak i ścisnął w rękę wiadro z wodą pędził do dziewcząt.

— Mamo! Mamo! — wołały rozpaczliwie dziewczęta, wpatrzone w nadbiegającego Tadeka.

— A, łobuzy! a, oszukańce! — grzmiała już Marciniakowa, która zdążyła wybiec z domu. — Dopiero co przysięgali, że dyngus im nie w głowie...

Właśnie w tej chwili, kiedy przejęta matka chciała jeszcze raz powtórzyć słowo „łobuzy”, Tadek dopadł do stojącej z brzegu Jagusi i już miał chlusnąć wodą, gdy zupełnie niespodziewanie w całą przygodę wplątał się duży pies Marciniaków, Łapaj. Wy-skoczył gwałtownie z budy i potężnym sussem dopadł Tadeka. Natarcie było tak niespodziewane, że chłopiec zachwiał się i upadł na ziemię, wylewając kubek wody na siebie.

Chłopcy nie czekali dłużej. Przeskoczyli na drugą stronę piaszczystej drogi. Dopiero po chwili dogonił ich Tadek.

Pierwsza ochłonęła z wrażenia pani Marciniakowa i spokojnie, ale głośno, żeby chłopcy mogli słyszeć, dokładnie kończyła przerwane przed chwilą przemówienie.

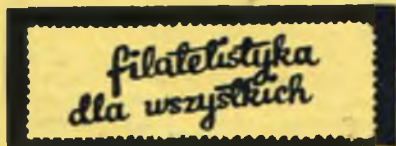
— ...A, łobuzy, a, oszukańce, chcieliście dyngusu, macie dyngus. A te jajka to już wam daruję...

Dziewczęta gładziły pieszczotliwie psa i szeptały mu bez przerwy:

— Dobry Łapaj, mądry Łapaj, dobry Łapaj...

Chłopcy z kurkiem poszli dalej i po chwili dobiegły do zagrody Marciniaków słowa ludowej pieśni:

Lato idzie, zima schodzi,
Nasz kureczek, bosy chodzi...



● Poczta Polska wprowadziła do obiegu ośmioznaczkową serię przedstawiającą postacie ze znanych bajek. Na znaczkach, które opracowała Helena Matuszewska, pokazano: „Kota w butach”, „Kruka i lisa”, „Pana Twardowskiego”, scenę z bajki „O rybaku i złotej rybce”, „Czerwonego Kapturka”, „Kopciuszka”, „Calineczkę” i „Królową Śnieżkę”. Te znane bajki przywodzą nam na myśl słodkie lata dzieciństwa, gdy to „bajki czarowne, bajki cudowne opowiadała nam niania siwa”. Nakład 1,1 miliona pełnych serii. Jest to trzecia emisja Poczty Polskiej o tej tematyce. Poprzednio w roku 1962 w dano: ilustrację do opowiadania Korczaka „Kłól Maciuś I” i do bajki Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. Wiele krajów emitowało liczne serie o tej tematyce. Tak więc zaczarowany świat bajek, legend i opowiadań ludowych urósł do samodzielnego tematu filatelistycznego. Na wystawach można spotkać interesujące zbiory na ten temat.

● W ZSRR wydano dziewięcioznaczkową serię poświęconą „malarstwu rosyjskiemu w Galerii Trietiańskiej w Moskwie”. Na znaczkach pokazano obrazy malarzy XIX i XX wieku podając na każdym znaczku nazwisko malarza i nazwę obrazu.

● Japonia wydaje systematycznie znaczki propagujące rodzime parki narodowe. Ostatnio emitowano dwa znaczki pokazujące fragmenty parku Sobo-Katamuki. Na znaczkach: widok

na górę Sobo i wodospad Takachiho. Nakład 16 milionów serii. W Polsce mamy kilka ładnych parków narodowych. Może by Poczta Polska pomyślała o ich zapropagowaniu przez znaczki?

● W nakładzie 2,6 miliona serii wydała poczta ONZ dwa znaczki poświęcone Sekretariatowi Narodów Zjednoczonych. Na znaczkach symboliczny rysunek przedstawiający w formie grafiku rolę Sekretariatu. Projektował Rashid-ud-Din z Pakistanu, drukowano w Szwajcarii.

● Na pięciu znaczkach pokazała Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna orły. Napisy tylko po koreańsku. Nominały od 2 do 40 jun.

● Poczta Madagaskaru wydała znaczek poświęcony działalności Komisji Praw Kobiety przy ONZ (Comision de la Condition de la Femme). Na znaczku waga na tle kobiecej twarzy i godło ONZ.

● Najstarsze i najliczniejsze Koło PZF, nr 1 w Warszawie uchwaliło przyjęcie za patrona imię znanego filatelisty Włodzimierza Polańskiego (1878—1944), który położył wielkie zasługi przy zakładaniu Muzeum Poczty i Telekomunikacji, był autorem wartościowych dzieł pocztowych i filatelistycznych oraz posiadał piękny zbiór pierwszego polskiego znaczka (Polska nr 1 z 1860 roku) za który otrzymał najwyższe wyróżnienia na wystawach krajowych i zagranicznych. W.G.





Kolorowe baze

W wielkanocny dzień do domu przyszły białe baze w gości, by pisanekom po kryjomu kolorów zazdrościć.

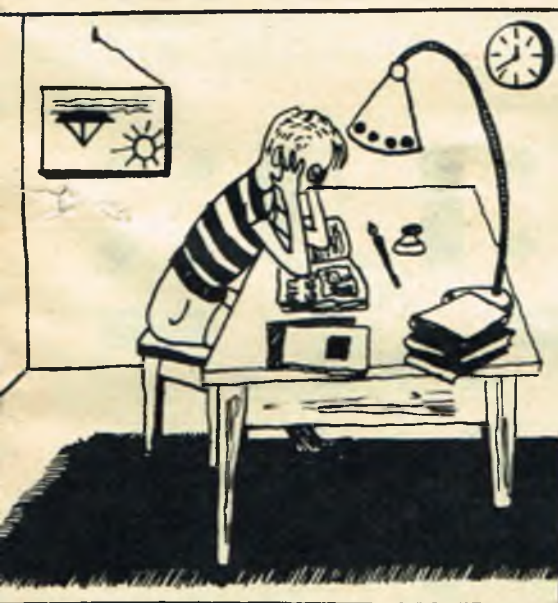
Bo ich nie pomalowano, nikt o bazach nie pamiętał, choć też pragną na Wielkanoc przywdziać strój od święta.

Nie chcą się już dłużej bielić, chcą w zieleni żyć, w purpurze! Czyż są gorsze aniżeli zwykłe jajko kurcze?

Aż z lusterka przyfrunęła malusienka, śmieszna tęcza. Zaraz wzięta się do dzieła, by je poupiększać.

Ubarwiła każdą bażkę małą tęczą uśmiechniętą! I dopiero wtedy właśnie zaczęły się święta.

JERZY FICOWSKI



Niby na rysunku wszystko w porządku, ale bystre oko dostrzeże kilka błędów. Spróbujcie je wyszukać, dla ułatwienia dodamy, że można ich wyszukać 8.



Nie ma na świecie większego łakomczucha jak mój Maciek.

Gdy się tylko lekko ściemni, wybiera się na nocną włóczęgę. Rusza wąsami, ślepi bursztynowymi oczami i prosi:

— Otwórzcie mi drzwi, proszę!...

Otwieram mu drzwi, a Maciek wychodzi z zadartym czarnym ogonom, zwiniętym w kudłaty pastorał. Odziedziczył go po swojej matce, syjamskiej księżniczce, i jest z niego ogromnie dumny. Tak bardzo dumny, że z byle kotem nie chce gadać.

Gada tylko z Mimi, z prześliczną kotką angorską pana majstra Kopytki.

Mimi jest bardzo piękna i bardzo głupia. Przez cały dzień wyleguje się na piecu na poduszce, ziewa, przeciąga się i nie chce byle czego jadać.

Rozkapryszona Mimi jest głupia jeszcze dlatego, że nie zna się na żartach i jeżeli z nią się pobawić, wysuwa srogie pazury i drapie. Ale wróćmy do Maćka.

Mój Maciek jest więc księżycowym kawalerem. To znaczy, że jak wyjdzie z domu o zmroku, to nie wraca, aż kiedyś koło godziny dziewiątej rano.

— Gdzie byłeś, Maćku? — pytam go ciekaw.

— Na polowaniu! — mruczy Maciek i myje się jęczyzkiem.

A co upolowałeś? Królika panu milicjantowi?

— Broń Boże! Żeby mnie zamknął do kryminału?...

— Więc gdzie byłeś?

Wtedy Maciek zaczyna opowiadać. Leży na otomanie i ize jak Cygan. A że był w lesie, w tym lesie były wilki. A on te wilki przegnał het poza las. I że były zające. I że zające także przegnał poza las. I że była maleńka sarenka i on zawarł z nią przyjaźń do grobowej deski, amen...

— Nie pleć, Maćku! — powiadam zgorszony jego igrastwem.

— Jak tłustą mysz kocham! — przysięga Maciek i potrzepuje zakrzywionym ogonem.

W końcu przyznaje się, że zjadł albo młodego królika panu Balarusowi pod lasem, albo że zagryzł kurczątka i także je zjadł, albo że pożarł trzy myszy polne, albo że przegonił szczerzego króla z długim ogonem, albo że zagryzł regiment nornic.

A gdy tak ize, ja nie mogę wyjść ze zdumienia, że nie napiera się o jedzenie. Widać pożywił się niezgorzej podczas swojej nocnej wędrówki. Ale gdzie?...

Nie dowiem się nigdy, bo to jego kocia tajemnica.

Wiem tylko tyle, że przepada za jajkami. Niech Bóg broń, by drzwi do spiżarki były odchylone. Zanim się spostrzegę, Maciek hyc do niej i już szuka jajka. Potem porywa je w pyszczek i zmyka.

Podpatrzyłem, jak to robi. Niesie jajko w pyszczku, chowa się z nim w krzaku agrestu, kładzie jajo na ziemi i tak długo tłucze w nie łapką, aż pęknie skorupka. Wtedy się zaczyna królewska uczta. Maciek wylizuje żółtko, oblizuje się, oblizuje, a potem wraca z miną niewiniątka do domu i myje pyszczek łapką.

W sąsiednim domu mieszka panna Petronela. Ma śliczne, złociste włosy, niebieskie oczy, w puciołowatych policzkach dołeczki, a kiedy się śmieje, wydaje się człowiekowi, że to skowronek śpiewa. Bardzo kochana dziewczyna. Tak bardzo kochana, że nie dziwię się wcale, iż kocha się w niej młody szofer Zeflik, który jeździ autobusem z Bielska do Cieszyna i wozi ludzi tam i sam. A gdy jedzie, trzyma kierownicę oburącz, patrzy na drogę, czy nie ma na niej kury, pijaka, baby na rowerze i dzieci, i nuci śliczną piosenkę o Karolinie, która poszła do Gogolina, a Karliczek za nią z flaszeczką wina. Wtedy wyobraża sobie, że tym Karliczkiem to on jest, a tą Karoliną złotowłosa Petronela...

Panna Petronela także lubi Zeflika, więc postanowiła sprawić mu wielką radość. Przyszła do mnie i rzekła.

— Proszę pana, pan jest taki mądry, jak nie wiem co... Niech mi pan wyszuka w swojej bibliotece jaki piękny wzór na pisanke!

Ha, czemu nie! Już się robi! Tym bardziej że Petronela uśmiechnęła się tak ślicznie, że chociaż był to dzień pochmurny, wydawało mi się, iż na niebie świeci słońce.

Wyszukałem przeto najpiękniejszy wzór na pisanke w takiej ogromnie mądrej książce, napisanej i zilustrowanej przez wielkiego malarza polskiego, który bardzo lubił sztukę ludową. Panna Petronela odrysowała wzór na bibułkowym papierze i powiedziała, że pisanek dla Zefliczka ozdobi takim wzorem. A wzór był tak śliczny, że ślicniejszego już nie było na świecie.

A Maciek-przechera leżał na otomanie, udawał że śpi, i słuchał.

Panna Petronela o złotych włosach i niebieskich oczach, i o dobrym sercu zamajstrowała śliczne pisanke. Było ich dziewięć. A ta najpiękniejsza była dla jej Zefliczka, a ta druga z rzędu, lecz już mniej piękna, była dla mnie.

Słońce było wysoko na niebie, kwiatki już rozsiały się po ogrodach i łąkach, a złotowłosa Petronela wyniosła miskę z pisankami i postawiła w słońcu w ogrodzie. Chodziło jej o to, by prześliczne wzory na jajkach prędzej wyschły. Wzory zaś były tak piękne, jak tęcza.

Na to tylko czekał Maciek. Udając niewiniątka, wymknął się z izby na dwór i smyr! smyr! do ogrodu panny Petroneli. Stał nad miską z pisankami, wybrał najpiękniejszą, akurat tę, która była przeznaczona dla Zeflika, i w nogi do Mimi.

Co się tam działo, nie wiem. Powiedział mi tylko majster Kopytko, że było urwanie głowy, takie małe kocie piekło. Głupia Mimi powiedziała, że gwizdże na Maćkową pisanke, że niech on się wynosi do wszystkich kocich diasków ze swoją pisanką, że jej miłsza przykwaszona słoninka sniżeli sto Maćkowych pisanek. A kiedy Maciek naprzykrzał się, skoczyła z pazurami na biedaka, podobna do kocię czarownicy, i wygoniła go z domu pana majstra Kopytki.

Maciek machnął na nią ogonem, potłukł pisanke łapką, zjadł ją, zostawił kolorowe skorupki i wrócił do domu.

— Teraz ja gwizdżę na głupią Mimi! — zamruczał i oblizwał się, bo na wasie miał jeszcze drobinę żółtka.

I tak skończyła się przyjaźń Maćka z niemądrą Mimi, ja zaś musiałem zwrócić jajko pannie Petroneli i przeprosić ją za Maćka.

GUSTAW MORCINEK



ŚWIĘTA

*Skłon nieba cicho poblądł,
rózany błysnął świtem...
Zszedł z nieba anioł biały,
kamienną uniósł płytę.*

*I powstał Chrystus z grobu,
wzniósł w górę swoje ręce...
— Za męki i cierpienia
świat kocham jeszcze więcej!*

*I pośzedł między ludzi —
niósł pokój i wesele:
— Niech w sercach waszych goszczą
i będą życia celem!*

L. WISZNIEWSKI

Porady zielarskie

ODPOWIEDZI CZYTELNIKOM

Najpierw muszę wyjaśnić, że zielarz nie jest ani lekarzem, ani jasnowidzem. Jeżeli mi ktoś nie napisze wyraźnie, co u niego lekarz stwierdził, to i ja nic doradzić nie potrafię. Muszę wiedzieć na co dany Czytelnik chorował dawniej, co lekarz powiedział obecnie, jaki jest wiek kochanego Czytelnika i dopiero mogę odpisać czy to listownie czy w druku.

PANI STANISŁAWA D. z Gorlic: ziota skuteczne przeciw gościowi podałem w numerze 7 i nic więcej podać nie mogę. Natomiast o niezbytach przewodu pokarmowego cały artykuł ukazuje się w jednym z najbliższych numerów.

PANI JADWIGA K. (na stemplu pocztowym odczytaliśmy „Obsza” i nic więcej) powinna iść do lekarza i nie lekceważyć sprawy tak dalece: przez 15 lat chorować i dopiero napisać do redakcji???

PAN STANISŁAW T. z Łapanowa: Oprócz Fitolizyny i Reumosanu należy bolące miejsca rozgrzewać poduszką elektryczną. Nie stosować natomiast żadnych antybiotyków, o czym lekarz powinien wiedzieć.

PANI ZOFIA S. Katowice — Ligota: Pani również powinna udać się z córką do lekarza, bo sprawa jest poważna. Jak się Pani dowie nazwę choroby — proszę mi napisać ponownie i list musi być bardziej czytelny.

PAN WŁADYSŁAW L. Wołica Murowaniec: Garść skrzypu na litr wody, gotować pod przykryciem pół godziny, zasypać łyżką dziurawca i odstawić do naciągnięcia. Uzyskany odwar wypić

w ciągu dnia małymi porcjami, ot! tak po ćwierć szklanki. To usunie Panu dość dużo wyliczonych dolegliwości.

PANI STANISŁAWA R. z Zielonej Góry: Ktoś, kto powiedział, że łuszczycyca jest nieuleczalna to po prostu ignorant, który nie powinien zabierać głosu w sprawach, na których się nie zna. Najczęstsza i najtrudniej uleczalna forma łuszczycy to jest awitaminoza B, która występuje w tej właśnie formie. Oczywiście, że przy awitaminozie B żadne smarowanie nie może pomóc, bo przyczyna leży wewnątrz organizmu, któremu trzeba dowieźć witaminy, przede wszystkim witaminy B. Niestety, witamina ta występuje w naturze niezbyt często i w niewielkich ilościach. Wyliczymy tu wszystkie artykuły w których witamina B występuje bodaj w najmniejszych ilościach. A więc najpierw surówki: wszystkie gatunki kapusty, pomidory, rzodkiewka, szczypiorek i marchew. Gotowane mogą być: wszystkie grochy, kalarepa, szparagi i buraki. Z owoców — agrest.

Można więc usunąć łuszczycę zastrzykami witaminy B-Complex — należy do tego dodać Biostyminę, ale aby nie wróciła należy pamiętać o surówkach, które w niewielkich ilościach, jednakże codziennie trzeba jadać.

Zdarza się też, że ktoś może cierpieć na złe przyswajanie witaminy B. Wtedy powinien oprócz jadać tych warzyw — pić napar z dziurawca.

CZ. DRABOWICZ

ODPOWIEDZI

PRAWNIKA

S.E. — z Janina — Uchwała Rady Ministrów nr 480 z 14.XII 1959 r. stanowi w § 2 pkt. 9, że opłata elektryfikacyjna należy się również od właściciela zelektryfikowanego budynku, który nie jest równocześnie właścicielem gospodarstwa rolnego. Wysokość opłaty zależy wtedy od zarobków. Od decyzji wymierzającej opłatę może się Pan odwołać do wydziału finansowego prezydium powiatowej rady narodowej, który ma prawo w wyjątkowych przypadkach opłatę elektryfikacyjną rozłożyć na dogodnie raty.

Pani J. Cz. Gozdów — Gdyby wieś nie była objęta elektryfikacją, ani Pani, ani sąsiedzi nie mielibyście do czego przyłączyć swoich zagród. Dlatego też Uchwała Rady Ministrów Nr. 480 z 14 grudnia 1959 r. wyraźnie w § 2 pkt. 3 postanawia, że zagrody położone na terenie wsi objęte powszechną elektryfikacją, a pominięte w planie ze względu na oddalenie od głównej linii niskiego napięcia, mogą być również objęte powszechną elektryfikacją, ale przy obciążeniu właścicieli tych zagród dodatkowymi opłatami. Mianowicie oprócz normalnej opłaty elektryfikacyjnej, zależnej od przychodowości gospodarstwa, muszą opłacić koszt zaprojektowania i wybudowania tej części linii niskiego napięcia, która przekracza dopuszczalną odległość. Z listu Pani wynika, że Pani i sąsiedzi ponieśliście do tej pory właśnie te koszty dodatkowe, które wynikają ze znacznego oddalenia Waszych zagród od głównej linii niskiego napięcia, a nie uiszciliście opłaty elektryfikacyjnej.

Choć opłata należy się, to jednak może Pani w odwołaniu do wydziału finansowego prezydium powiatowej rady narodowej opisać swoje trudne położenie i prosić o rozłożenie jej na raty. Sama wysokość opłaty nie zależy od liczby hektarów w gospodarstwie, ale od rocznej przychodowości.

Pan J. Z. Pruszków — spółdzielnie dysponują funduszem mieszkaniowym, z którego udziela się członkom niskoprocentowego kredytu na długoterminne spłaty. Należy zwrócić się do zatrudniającej Pana spółdzielni z wnioskiem o udzielenie pożyczki na remont. Na zabezpieczenie pożyczki należy złożyć weksel gwarancyjny, podpisany również przez dwóch żyrantów. Jest to dla Pana jedyna możliwość, gdyż Państwo może pokrywać koszty remontów domów, należących do osób prywatnych, ale wtedy tylko, gdy są to domy czynszowe a nie jednorodzinne. Dla osób pobierających rentę inwalidzką dodatek z tytułu wysługi lat został zryczałtowany (zamiściliśmy na ten temat artykuł w numerze 9 „Rodziny”) i wynosi 4 proc. podstawy wymiaru renty dla inwalidów III grupy i 5 proc. dla inwalidów I i II grupy. Przyjmuje się bez względu na rzeczywisty okres pracy inwalidy (krótszy czy dłuższy), że przepracował on w Polsce Ludowej 15 lat. Przepisy wykonawcze do ustawy emerytalnej, których na razie jeszcze nie ma, być może rozszerzą w tym zakresie uprawnienia inwalidów.

PRAWNIK

Wytnij ten kupon. Opisz dokładnie sprawę w liście do redakcji, a otrzymasz bezpłatną poradę prawną.

POZIOMO: 7) miasto powiatowe w woj. krakowskim, 9) gra podstępne role w teatrze, 10) styl w sztuce 11) duży las, 12) towarzyska orla, 13) sztuczne zaglebienie w ziemi, 14) barwnik nadający kolor skórze, 17) sito, 18) obrzęd liturgiczny, 20) pasza dla zwierząt, 22) mamutowe drzewo, 23) napój alkoholowy, 24) mieszanina metali, 25) płaski obszar, 28) rodzaj lokomotywy, 30) figura w szachach, 34) opera Thomasa, 35) uchodźca do Bałchaszu, 36) szczególna mównica, 37) region CSRS, 38) na świątecznej choince.

PIONOWO: 1) jednostka wagi, 2) meander rzeczny, 3) miasto między Kijowem a Kurskiem, 4) wyznawca religii chrześcijańskiej, 5) rodzaj wyróżnienia w konkursie, 6) kolebka statków, 8) strój liturgiczny, 9) postać z „Faraona”, 14) transport, 15) przepływa przez Paryż, 16) rozrywka karciana, 19) apel, 21) część meczu siatkówki, 23) reguła, 25) najlepsze z Torunia, 26) efekt odejmowania, 27) miękka tkanina z krótkim, gęstym włosem, 29) treść utworu, kanwa, 31) część fajki, 32) można ją skojarzyć z makiem, 33) skupisko zagród.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 15”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania; rozlosowana zostanie nagroda: ALBUM DO FOTOGRAFEL.

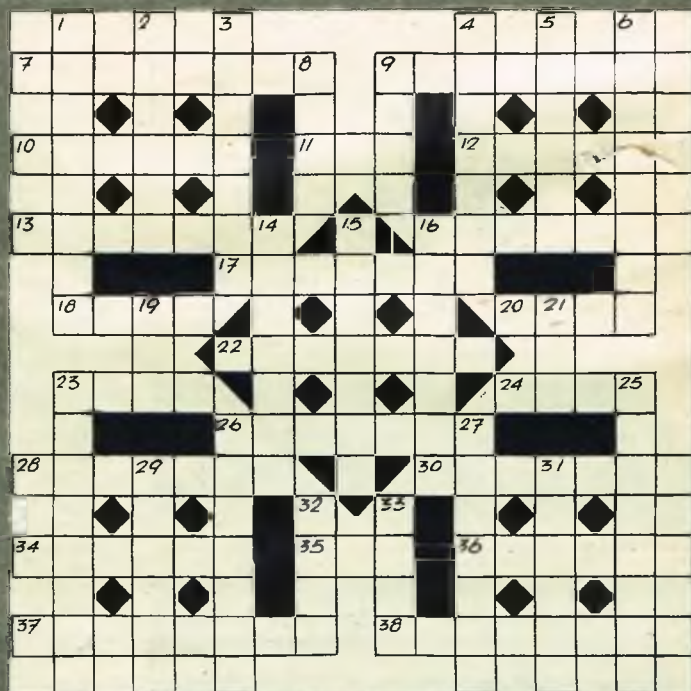
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 9

POZIOMO: sprzeczka, komża, kędziór, grzanki, trio, odwet, kran, psalut, ekstrakt, obrządek, premia, orka, zebra, kres, znaczek, fanatyk, zgaga, piastunks.

PIONOWO: Szkot, Rodzina, emir, zdrada, Angielka, koza, Minerwa, awionetka, zając, Start, proboszcz, teleskop, reklama, Maraton, trufla, sekta, jzba, knot.

Nagrodę w postaci TERMOSU wylosował ob. Maksymilian Ordza, Zabrze 1, ul. Karola Miarki 23 m 4.

K
R
Z
Y
Ż
Ó
W
K
A
Nr
15





Pan J. W. z Warszawy

List Pana, zięjący nienawiścią do innych wyznań i do duchowieństwa w ogóle, jest zwłaszcza dlatego przykry, że naszpikowany cytatami z Pisma św. Dziwne to tym bardziej, że uczy Pan miłości do człowieka, co wynika chociażby z tego zdania: „Bóg jest miłością mieszkającą w sercach ludzkich, a prawdziwi chwalczy wielbią Go w duchu i w prawdzie (Jan. 4, 21-24), w duchu miłości bliźniego i w prawdzie dobra powszechnego, którym jest Chrystus (2 Kor. 6, 16-18; 1 Jan 4, 16-18)”. Znamy już z przeszłości ludzi, którzy do miłości bliźniego zachęcali stosami inkwizycyjnymi lub koncentracyjnymi obozami. Proponujemy mniej słów a więcej czynów, tych naprawdę dobrych, uczciwych, dalekich od nienawiści także wyznaniowej. Pozdrawiamy.

Pani Irena Z. z Krakowa

Słowa: „Roma locuta, causa finita” znaczą dosłownie: „Rzym powiedział, przyczyna skończona”. Używa się ich często w Kościele Rzymskokatolickim na poparcie nauki o jurysdykcyjnym prymacie papieża i twierdzi się, że wypowiedział je po raz pierwszy św. Augustyn, wielki Ojciec Kościoła żyjący w IV wieku. Dodajmy, że łacińskie słowo „causa” obrońcy prymatu tłumacza po polsku na „sprawa”, lecz oczywiście błędnie, jak wynika z tego, co naprawdę powiedział św. Augustyn.

A oto jego słowa: „W tej sprawie dwa poselstwa zostały wysłane do Stolicy Apostolskiej, skąd przysłała odpowiedź. Przyczyna jest skończona; oby i błąd kiedyś się skończył” (Kazanie 131, 10, 10). Jaka to była sprawa i jaka jej przyczyna? Sprawa był upór błędnowierców

zwanych pelagianami mieszkającymi w Afryce Północnej. Nie chcieli dać się przekonać, że są w błędzie dlatego, że przez piętnaście lat pelagianizm szerzył się spokojnie w samym Rzymie i nikt go tam nie zwalczał. Pelagianie afrykańscy pytali św. Augustyna: Dlaczego chcesz być bardziej katolicki niż papież? Zostaw nas w spokoju tak, jak to robi papież Innocenty I. Oto źródło, przyczyna (causa) uporu błędnowierców w Afryce. W celu skończenia z tą przyczyną (ze źródłem zła), biskupi afrykańscy napisali do papieża dwa razy (na pierwszy list nie odpowiedział) wyrzucając mu popieranie pelagian w swoim mieście, na co w odpowiedzi dwie informacje (rescripta) mianowicie: a) w Rzymie nie ma żadnych pelagian, b) naukę ich papież odrzuca i potępia. W oparciu o te informacje św. Augustyn wygłosił w Kartaginie przeciw pelagianom płomienne kazanie i oświadczył im, że źródło ich uporu wyszło — przyczyna zlikwidowana (causa finita est) — oby też się zlikwidował sam błąd. Dodajmy, że św. Augustyn z wielką ostrożnością powiedział w kazaniu o „Stolicy Apostolskiej” — przemilczając papieża. Wtedy bowiem, gdy to kazanie głosił (październik 417 r.), papieżem był już Zozym, który otwarcie przyznał się, że w Rzymie są pelagianie i że to co głoszą, wcale nie jest błędem. Owszem, pap. Zozym trzy razy pisał do Afryki przekonując, że to św. Augustyn jest w błędzie. W odpowiedzi na to Augustyn stwierdził, że dla niego miarodajna jest Stolica Apostolska, nie papież. Namówił cesarza, by zmusił papieża Zozyma do zmiany stanowiska, co też nastąpiło w roku następnym.

Szersze omówienie tego zagadnienia można znaleźć w książce pt. „Idea nieomyślności Kościoła w eklezjologii patrystycznej”, którą można nabyć w biurze Prezydium Rady Kościo-

ła Polskokatolickiego, Warszawa, ul. Wilcza 31. Pozdrawiamy.

Pan P. Ostrowski z Mikołowa

Dziękujemy za uwagi i wskazówki co do prowadzenia dialogu z Czytelnikami w tej rubryce. Większość z nich jednak ma charakter wrażeń czysto osobistych i nie liczy się z tym, że rubryka ta nie jest przeznaczona jedynie dla suchych informacji czy ściśle naukowych rozważań popartych naukowymi dowodami. To są rozmowy, a więc staramy się nadać im ton i formę rozmów, w których każda ze stron przedstawia swe zapatrywania „tak po swojemu”, a nie jak podczas sztywnej konferencji na którymś tam szczeblu.

Zastrzeżenia Pana co do naszej odpowiedzi dla p. Jana K. z Oświęcimia wynikają ze zbyt powierzchownego zapoznania się z nią. Pisze Pan, że „powołanie się na list A. Pawła (1 Kor. 11, 23) jest nieścisłe, gdyż wiersz 23 do wymienionej sprawy tj. nazwy „Mszy” się nie odnosi — wiersz ten jest oderwany od całości mówiącej o Eucharystii”. A oto jak wyglądała nasza krytykowana tu odpowiedź: „Nazwę „Msza” wprowadził św. Ambroży, biskup Mediolanu zmarły w 397 r., ale on nie wymyślił tego, co się pod tą nazwą kryje, ponieważ treść Mszy zna już Ap. Paweł (1 Kor. 11, 23). Z zestawienia obydwu wypowiedzi wynika, że Pan czyta nas powierzchownie. Nie pisaliśmy, że wypowiedź Ap. Pawła odnosi się do nazwy „Msza”; wyraźnie zaznaczyliśmy, że odnosi się ona do treści ujętej w IV wieku nazwą „Msza”. Oczywiście zgoda, że przed IV wiekiem nie mówiono o Mszy św., lecz albo o liturgii, albo o nabożeństwie Eucharystycznym, natomiast A. Paweł wybrał nazwę „Wieczerza Pańska”, lecz rozumiał pod nią ofiarę Nowego Testamentu, co wynika jasno ze słów: „Kielich ten jest Nowym Przymierzem we krwi mojej” (w. 25) oraz: „Ilekrót bowiem spożywacie ten chleb albo pijecie kielich, śmierć Pańską głosicie” (w. 26). Przymierze „we krwi” oraz głoszenie „śmierci”, która była ofiarą, wskazuje jednoznacznie na ofiarniczy charakter Mszy — Wieczerzy Pańskiej. W odpowiedzi naszej chodziło jednak o coś innego, mianowicie o odrzucenie twierdzenia Korespondenta z Oświęcimia, że Msze św. wynalezione dokładnie w roku 1100.

Zbędnie przekonuje nas Pan, że „łacina przy Mszy jest rażącym pogwałceniem zaleceń Ap. Pawła. Powinno być Panu wiadomym, że Kościół Polskokatolicki od początku i w całej liturgii używa wyłącznie mowy zrozumiałej dla swoich wiernych.

Jest rzeczą oczywistą — i o tym doskonale wiemy, że w czasach św. Justyna Apologety (II w.) nie używano przy Mszy św. opłatka, lecz chleba (Opłatek wprowadzono w VIII w. wyłącznie na Zachodzie). Jeżeli jednak pisaliśmy o św. Justynie, to dlatego, że Korespondent z Oświęcimia twierdził, iż „przeistoczenie opłatka” miało miejsce po raz pierwszy w 1215 r. Apologeta z II w. pisze co innego, mianowicie, że przeistoczenie chleba i wina w Ciało i Krew Pańską odbywa się za jego czasów. Widać z tego, że znowu czepia się Pan słówek a nie zważa na treść naszych wypowiedzi, zwłaszcza, że słowo „opłatek” przy Justynie podaliśmy w cudzysłowie. Domaga się Pan poza tym uzupełnienia tej wypowiedzi słowami: „Lecz o ofierze mszy ani słowa u Justyna nie ma”. Tak, nie ma, lecz Korespondent z Oświęcimia nie żądał odpowiedzi na temat Mszy św. jako ofiary; zaczęliśmy sam fakt historyczny „przeistoczenia opłatka”.

Apelujemy więc o dokładne studiowanie tego, co piszemy i pozdrawiamy.

POLECAMY

Kalendarz Katolicki zł 15,—
 Nam zapomnieć nie wolno zł 15,—
 Mroki rozjaśniają się zł 10,—
 Stosunki polsko-watykańskie w Tysiącleciu zł 12,—
 Żądajcie w kioskach „Ruchu”.
 Książki te również można nabyć w Instytucie Wydawniczym „Odrodzenie”, Warszawa, ulica Wilcza 31. Wysyłamy na każde żądanie, za zaliczeniem pocztowym lub po opłaceniu należności przelewem pocztowym.

POLECAMY RÓWNIEŻ

Historia Papiestwa tom I zł 35,—
 Trzynasty stopień wtajemniczenia zł 5,—
 Piękna nasza Polska cała zł 15,—
 Sprawa Kościoła Narodowego w Polsce w XVI w. zł 30,—

PIERWSZE W POLSCE

wydanie Pism księdza biskupa Franciszka Hodura tom I i II — 60 zł.

Do nabycia w Instytucie Wydawniczym „Odrodzenie”

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 28-97-84; 28-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmuje urząd pocztowy, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 35 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę na zagranicę, która jest o 40% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-38, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 75, 10,70 DM, 8,80 NF; 1,13,6 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 75; dla Australii 2,10,5 £A, 20,4 LE). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Instytutu Wydawniczego „Odrodzenie” PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.



Co się kryje na dnie dzbana...



Jaka miła niespodzianka

... i jaka ogromna radość



Z LITERATURY HUMORYSTYCZNEJ XIX WIEKU

Toast wielkanocny

O panowie; niech los w dani
Przynosi nam dużo zysku:
Bądźmy zdrowi i rumiani,
Jak to prosię na półmisku.
Czek na radość sieć zarzuca,
Ale smutki zwykle łowi.
Niech spokoju nie nie skłóca
Nam — jak temu indykowi.
Niechaj każdy będzie syty,
Zdrów i wesół — i nie słaby

Miejmy wygląd znakomity,
Jak te placki oraz baby.
Niech nie znęca się nad nami
Los chorobą, ani zgonem.
Jak na przykład my dziś sami
Znęcamy się nad święconem.
Na ostatek wasz poeta
Śle życzenia tej godziny:
Niech obejdzie się ta feta
Bez dostojnej... medycyny.



RACJONALIZATORZY

